

Spotkania literackie pod redakcją
Macieja Pinkwarta

... kto cię będzie kochał ...

NOWEMU TARGOWI W 660 URODZINY



Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Targu
2007

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY



www.mok.nowytarg.pl

Miejski Ośrodek Kultury
Aleja Tysiąclecia 37
34 - 400 Nowy Targ
tel. (18) 266 21 32
www.mok.nowytarg.pl

ISBN 978-83-919989-9-1

Maciej Pinkwart

OD REDAKTORA

Dziwna trochę rocznica, nie okrągła... Ale przecież urodziny są co roku i na urodziny warto dawać prezenty. Miastu w widłach Dunajców jesteśmy winni wdzięczność za to, że nas przytuliło, niektórych gości od urodzenia, innym udzieliło schronienia w wieku już dojrzałym. Dla wszystkich autorów niniejszego tomiku jest Nowy Targ miastem stałego adresu, choć kiedyś dla niektórych był tylko przystankiem pośrednim w drodze z nizin do gór. Dziś, włączeni w miejską substancję ludzką, przemykamy tymi samymi ulicami, zachwycamy się smakiem lodów na Rynku, przeżywamy wzloty i upadki drużyny hokejowej i z dumą spoglądamy na szczyty górskie, z daleka i bliska zaglądamy do naszej kotliny.

Zamieszczone tu teksty nie stanowią bynajmniej ani zestawu laurek typu „o jakże kocham swoje miasto”, ani zestawu anegdot z jego historii. Historię uczoną bowiem pozostawiamy uczonym historykom, rzetelnie podbudowane faktografią pamiętniki znajdują się zapewne w jubileuszowych publikacjach oficjalnych. My prezentujemy Państwu okruchy wspomnień, wierszowane emocje, myśli, inspirowane Nowym Targiem. Teksty poniższe powstały w czasie zajęć na warsztatach literackich Miejskiego Ośrodka Kultury. Prezentujemy je w kolejności alfabetycznej nazwisk autorów.

Julian Dworski

MÓJ DOM, MOJA MIŁOŚĆ

Jak dobrze mieć dach nad głową,
co chroni przed krzykiem burzy,
stukotem gradu,
łzami deszczu,
stępkaniem mrozu.

Stare ściany patrzące pomarszczonymi
oczami
na śmierć i radość,
smutek i łzy.
Szepczące cicho, łagodnie,
zwłaszcza w nocy, gdy księżyc
ziewa zmęczony.

I strych, co pamięta dawność
jasną i ciemną,
gdzie nie widać błyskawic,
a pioruny wstydzą się swojego huku.

I sienie, kochane, przestronne,
pełne przeciągów, zapachów,
paniska,
mające za nic drewnotnie i piwnice.

Jak dobrze usiąść na schodkach werandy
I słuchać mowy domu,
westchnień, skrzypień i szeptów
Czuć bicie jego serca.

Kochaj mnie, domu,
moja miłość,
jak ja ciebie,
bo już więcej nie można

Odpryski zwierciadła,
Odpryski wspomnień
z rodzinnego albumu

Julian Dworski – ur. 1905 r., zmarł 1960 r. w Nowym Targu, ukończył Wydział Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, nauczyciel szkół powszechnych oraz Liceum i Gimnazjum im. Seweryna Goszczyńskiego w Nowym Targu. Najukochańszy Ojciec, dobry, szlachetny człowiek z poczuciem humoru. Kochający rodzinę, młodzież, miasto, w którym żył i pracował.

Maria Dworska

MOJEMU OJCU

Pustego miejsca po Tobie
Nie zastąpi nic, ani nikt.
Ani wierny pies,
ani pięknooci kot,
ani kwiat, upojny od barw,
zapachów, kształtu...
Ani człowiek.
Bo nie ma takiego drugiego,
Jak Ty – tato!

*Kwiecień '04
44 lata po Jego śmierci*

Maria Dworska

MATKA I CÓRKA

(na podstawie starej legendy)

Kiedy lato swoimi skrzydłami otoczy łąki i pola
ptaki zasypiają zmęczone skwarem,
a utrudzeni ludzie klękają do pacierza
One biegną z radością na spotkanie
w Grelu – między Ludźmierzem a Miastem,
raz w roku.

Jedna – zwinna, szybka i lekka,
z zapachem ziół we włosach.
Druga – stateczna i godna,
z pochylonym karkiem i dłońmi do witania.

To Matka i Córka.
Miłość jest w ich oddechach,
gestach i słowach...
Choć Dziedziczki – mają swe troski, radości i bóle.

Starsza uczy, jak żyć, jak cierpieć, dźwigać krzyże,
rozsiewać nadzieję i miłość.
Młodsza – cieszy się Synkiem,
że mądry i kochany!

Dwie pary rąk łączą się w pożegnalnym uścisku
I ociągają z odejściem.
Czas iść, już czas!

Maryja powraca do siebie,
do Ludźmierskiej Bazyliki,
wypełniona po brzegi miłością,
ciepłem i siłą.

A Jej Matka Święta Anna,
wędruje na górkę, do swej drewnianej siedziby,
przymykając oczy
pełne macierzyństwa i babcinego szczęścia...

Maria Dworska

RODZINNY DOM

Mój staruszek – dom
ma już 80 lat,
ale trzyma się krzepko!
Nigdy nie skarży się,
nie kłóci, nie złości.
Cieszy się wszystkim
co robię dla niego.
Wie co to miłość,
gdy dotykam znajomych desek,
gwoździ i szpar.
Jest dla mnie najpiękniejszy,
najlepszy na świecie.
Chcemy zawsze być razem –
On i ja...

Maria Dworska

TO ONA – ALEKSANDRYJSKA

Patrzę w niebo, stojąc na ziemi
nowotarskiego Rynku i widzę...
Patronka, Opiekunka – św. Katarzyna
płynie po niebie, otulając
(jak dobra wróżka) swym
aleksandryjskim płaszczem miasto,
któremu przyrzekła opiekę
i hojnie rozdziela dary:
mądrość,
wiarę silniejszą i twardszą
od granitowych skał tatrzańskich.
Urodę, która pokonała czas i męczeństwo.
Bogactwo serca, które przetrwało
wichry ateizmu, grzmoty
i ciemne chmury
zwykłej głupoty...
Czyż tak obdarowani
Mieszkańcy Kazimierzowego Grodu
mogą nie być wierni Słowu,
urodni i święci?

Maria Dworska

Z OKIEN STAREJ CUKIERNI

Zza koronkowych firanek – chmurek
starej cukierni,
spoglądam na moje miasto,
na silne, prężne ramiona Dunajców
czasem ściskające w dłoniach
gładkie czy omszałe kamienie...
Na figurę Świętego
patrzącego na nas
wszystkowidzącymi oczyma,
nie pamiętającego win i zła...
Na mieszkańców dawnego Starego Cła,
śpieszących, zamyślonych,
roześmianych.
Na młodych i starych
jednakowo potrzebnych Miastu.
Jeśli tylko potrafią wyczarować
ze swoich serc
roziskrzoną bryłkę szlachetnego kruszcu
zwanego dobrem.
I ofiarować go Tobie –
Moje Miasto.

Maria Giłka

O TRWANIU I PRZEMIJANIU

Rozmyślenia w Dzień Wszystkich Świętych

Trwanie, choć słowo brzmi jak wieczność, to ograniczone miarą ludzkiego losu, staje się wymierne. Czasami trwanie bywa stanem wynikającym z bezsilności i wtedy staje się najtrudniejszym uczuciem, jakiemu poddany może być człowiek. Taka wymuszona bezsilność zawisła nad głowami Polaków z chwilą rozpętania się II wojny światowej. Jeszcze z nastaniem lata ludzie snuli życiowe plany, omawiali wakacyjne wojaże, choć wojna jawiła się jako już bardzo prawdopodobne zagrożenie, ale nikt nie przypuszczał, że to co miało się zdarzyć, mogło być tak straszne, i z każdym rokiem okrutniejsze.

Mam przez sobą pożółkłą kartkę papieru, wyrwaną z zeszytu, zapisaną równym wyrobionym pismem, nic tylko daty, fakty i wierzyć się nie chce, że te zapiski dotyczą życia rodziny na zesłaniu w ciągu sześciu lat i ośmiu miesięcy. Pióro zarejestrowało najważniejsze fakty dokumentując je odpowiednimi datami, ale bezmiaru ludzkich odczuć, smutku, strachu, bólu, tęsknoty, już autorka tych zapisków nie ujawniła. Zachowując te przeżycia dla siebie, gehennę swojej rodziny odnotowała następująco:

W dniu wybuchu wojny z Niemcami, mieszkałam z mężem lekarzem wojskowym i dziećmi w Brześciu. Przeszliśmy tam bombardowanie, męża odesłano do Warszawy. We wrześniu zarządzono ewakuację rodzin wojskowych z twierdzy. Wyjeżdżaliśmy w kierunku Zaleszczyk. Ale wkroczyła Armia Czerwona. Wtedy zrobiłam tak jak radził mi mój mąż: zabierz dzieci i jedź do mamy. 15 kwietnia 1940 roku o godz. 2 w nocy, po mocnym dobijaniu się wszedł NKWDzista z żołnierzem i dziewczyną i oznajmił, że nas przesiedlają, tzn. mnie, moją matkę i dzieci. Dano nam niedługi czas na spakowanie. Odwieźli nas na dworzec. Po załadowaniu nas do wagonów towarowych zamknęli drzwi. W wagonach prycze i dziura w podłodze zastępująca klozet. Wyrwani z domu bez względu na wiek i zdrowie. Pociągi ruszyły, dłuższy postój we Lwowie, a potem dalej na wschód.

Swoją wielką życiową tragedię – śmierć sześćioletniego synka odnotowała takim zapiskiem:

W sierpniu zachorowałam ja potem mój synek, który po dwóch tygodniach choroby zmarł. Ponieważ był to czas żniw nie mogłam dostać podwoły by jechać z nim do szpitala.

Zapis ten zakończyła kropką, ale ja dopiszę o tym woreczku z trzema garściami ziemi zgarniętej z grobu synka, którą chciała mieć blisko siebie jako pokrzepienie w dalszej tułaczce po kazachstańskich kołchozach i ogłoszonej woli, że tę ziemię chce zabrać z sobą do grobu.

Takie niewzruszone trwanie pomimo wszystkiego odnieść muszę do babki mojej bratowej – Jadwigi Sawickiej. Ta, prawie wtedy 60–letnia, kobieta z wielkim oddaniem wspierała swoją córkę i jej dzieci na zesłaniu. Kiedy ją ją poznałam, była dobrze po siedemdziesiątce, ale pochodziła przecież z pokolenia, które zwłaszcza na kresach wschodnich musiało być silne, czujne, zachowując ostrożność, wymuszaną pamięcią szubienic, katorgi, zesłań, konfiskat. Więc chyba dobrze ją zapamiętałam jako kobietę silną, choć cichą i pokornego serca. Przez co pewnie stale wydawała mi się jednakowa. Od rana starannie ubrana w bawełnianą bądź jedwabną bluzkę z długimi rękawami, zakończoną mankietami, drobne, perłowe guziczki, okrążyły kołnierzyk obszyty koronką i nieodzowna broszka pod szyją. Na wychodne zawsze kapelusz i rękawiczki, latem i zimą. Ta pełna zachości kobieta na pytanie co by zrobiła gdyby jej przyszło sądzić Stalina groźnie podniosła do góry rękę i wymachując oznajmiała: *o, tak bym mu dała*. Niewielka to była zemsta za śmierć zięcia, wnuka, głód, poniewierkę i konfiskatę majątku.

A moje rozpatrywanie niezłomnego trwania na przekór wszystkiemu, chcę poszerzyć jeszcze o dzieci. Bo oto tak wspomina czasy tego zesłania Ania, żona mojego brata, wtedy zaledwie trzyletnie dziecko. Zbyt wiele nie zapamiętała. Ale dwa fakty z tułaczki po nieludzkiej ziemi przechowała w pamięci doskonale. Jeden – kiedy wywozili ich na zesłanie jak stała na dużej niebieskiej borni, bo tylko tak mogła wyglądać z bydlęcego wagonu przez okno. Drugie wspomnienie, rzewniejsze w swej wymowie, tak zapamiętała... *nie zjadłam w tej ruskiej ochronce pieroga, i brat powiedział: będzie dla mamy i babci. Więc zabrałam ten pieróg i niosłam przed sobą idąc zakurzoną drogą, między kołhoskimi polami, ale potem wyrzuciłam pod krzakiem, i szłam dalej za Kazikiem, a kiedy brat zobaczył, że nie mam pieroga, rozplątał się i pobiegł go szukać. A przecież w tym samym czasie gdzieś w innym świecie dzieci śmiały się, szczęśliwe i bezpiecznie bawiły w słońcu...*

Jeszcze o matce Ani, pani Młodeckiej, bo to taki sam przypadek. Wychowana w dobrobyciu i poczuciu bezpieczeństwa, kiedy pozostała sama z dwojgiem dzieci i matką w podeszłym już wieku, musiała w jednej chwili dorosnąć, aby sprostać sytuacji i stać się silną i odpowiedzialną kobietą. Nic więc dziwnego, że radość życia i beztroskę pozostawiła na zawsze gdzieś na szosie między Brześciem a Zaleszczykami. Reszta jej życia była już tylko wypełnianiem obowiązków względem rodziny i wielką tęsknotą za życiem dawnym, za synkiem, mężem, w którego śmierć nie wierzyła długie lata, dokąd nie przeczytała Listy Katyńskiej, gdzie na stronie 129 wypisane było *Kapitan Młodecki Edmund Karol, lekarz medycyny* i wymienione przy nim drobiazgi: bloczek recepty z nadrukiem jego nazwiska, kalendarzyk, wizytówka, odznaka artyleryjska, kwity, portfel, jakiś list... Tylko tyle, czy aż tyle? O Boże, jak tu winnym tej zbrodni przebaczyć? O Boże, jak będziesz sądził tych ludobójców, którzy odebrali człowiekowi prawo do życia i godnego umierania? Przecież dziś po tych masowych mordach, śmierć przestała mieć dawne znamiona jakiegoś misterium umierania, a opatrzona terminem *zgon*, przestała dziwić. Stała się zwyczajna, już bez zatrzymywania zegarów w chwili skonania, bez zakrywania luster całunem, rocznego noszenia żałoby. Teraz obrzęd pogrzebowy oddany w ręce profesjonalnym firmom toczy się ich zwyczajem, bardziej lub mniej uroczyście, bo tu panuje już czyste zawołstwo, a więc konkurencja i prawa rynkowe.

Czyżbym więc w końcu miała przyznać rację Melchiorowi Wańkiewiczowi, który zapytany co chciałby mieć napisane na swoim nagrobku powiedział: *co się gapisz?* Trzy wymowne słowa człowieka przyznającego się do porażki wobec nieuniknionej śmierci, a może już tylko *zgonu*. Unikając wszelkich filozoficznych dociekań, muszę stwierdzić, że choćby najdłuższe trwanie, powoli staje się przemijaniem i patrząc z tego punktu widzenia, nie wydaje mi się niczym dziwnym, dawanie zadośćuczynienia tym po ludzku rozumianym wyobrażeniom *co by nasze kości po świecie się nie poniewierały, by odnalazły się w jednym miejscu nawet bez doczesnych szczątków, tylko garścią ziemi potwierdzone, ale wypomniane z imienia nazwiska i potomnym przekazane*. I stało się, choć przeniesione z dalekiego Kazachstanu i Katynia, tylko w aspekcie czysto duchowym, ale uczuciem wymowne i nie obce tej ziemi, bo małżeństwie skoligacone zaistniały pośród nas na nowotarskim cmentarzu. Wyróżniając dosyć pospolity grobowiec tabliczkami, na których

wypisane miejsca śmierci w polskim odbiorze są synonimem męczeństwa i zniewolenia Polaków.

Edmund Karol Młodecki ur. 04.10.1903 r. zm. 1940 r. zginął w Katyniu
Kaziu Młodecki ur. 11.12.1934 r. zm. 02.09. 1941 r. w Kazachstanie

Trudno nie zadać sobie prostego pytania, ile nasz nowotarski cmentarz pogrzebał już tajemnic ludzkich tragedii i nieszczęść. Ale odpowiedź na to pytanie zna tylko anioł śmierci, który zdecydowanie stojąc na grobie ziemskim, asystuje przemijaniu, zwiastując wszechobecność śmierci, ale i nadzieję na życie wieczne. Pewno dlatego w dniu Wszystkich Świętych radośnie pokonuje swoim sposobem piętrzące się schody licząc siedem schodów i odpoczynek, aby wkroczyć w miasto umarłych z zamiarem odwiedzenia grobów bliskich, znajomych i przyjaciół. Wtedy myśli moje – jak to bywa z myślami, kiedy przestajemy je kontrolować – biegną swoimi ścieżkami, dokonując odkryć w typie: *o jaki dzisiaj piękny słoneczny dzień, wciąż złotej jesieni*, albo, że ustalenie na 1 Listopada Dnia Zmarłych udało się ludziom bo to jakby ludzkie przemijanie spotkało się przypadkiem z odwiecznym rytmem jesiennego obumierania przyrody. Zaś te ranne mgiełki i częściowo pozbawione liści drzewa, to piękna sceneria w jakiej od lat odbywa się świętowanie święta zmarłych. Stale jednakowe i tą jednakowością tworzące coś stałego, coś ciągłego, między ziemią tu i teraz a wiecznością gdzieś tam.

Tak rozmyślając zatrzymuję się przed grobowcem starym, bo prawie stuletnim, wybudowanym przez mojego dziadka. Dziadek Ignacy w swojej zapobiegliwości, przewidywał wszystko: i kołyskę dla mającego się urodzić dziecka, i grobowiec dla swojej rodziny. Teraz stojąc przed tym grobowcem, w miejscu wydeptywanym przez czwarte pokolenie, w skupieniu odmawiam *Ojczy nasz i Wieczne Odpoczywanie*, niezmiennie od lat poprawiając a to kwiaty w wazonie, a to wianek nieśmiertelników, póki nie wymówię słowa *Amen*. Wtedy kilka słów pozdrowień do stojących obok mnie krewnych i już mogą moje myśli ożywić na nowo przypuszczeniami, wspomnieniami, refleksjami, przywołując cienie umarłych, niemodnie ubranych, bo jeszcze w surdutach, pluszowych sukniach, katankach, gabardynowych garniturach i koszulach *non iron*. A twarze zachowane w pamięci są już jedynie portretowym wizerunkiem zastygłym w majestacie czasu przeszłego dokonanego.

O Panie – westchnęłam – daj mi rozumieć nicość tej ziemi, wielkość nieba i krótkość życia ludzkiego, wobec nieskończonej wieczności. Następnie nawiedzam grób stryja Bartłomieja, jego żony Anny, przecież tu od dziecka się zatrzymywałam i świeciłam świeczki a teraz znicze, ze zwykłej powinności, gdyż nikt z ich bliskich już nie żyje. Potem kroki swoje skieruję na grób wujka Franka, tutaj zawsze myślę tylko o jednym, jak można nauczyć się przebaczać, bo nigdy nie umiałam pozbyć się zawziętości, wobec tych, co dokonali mordu na tym 29-letnim mężczyźnie. Potem przystanę przy grobie starszej koleżanki, ale jej monumentalna fotografia z długimi francuskimi lokami wokół twarzy jest mi już obca. Jak barokowa dama z muzealnego portretu. Na koniec zatrzymam się przy drugim rodzinnym grobowcu. Ale tu moje myśli skupiają się na rozmyślaniach o niezbadanych wyrokach boskich, o zawiedzionych nadziejach, niezrealizowanych planach.

A wszystko wokół jak zawsze od dziesiątków lat, będzie się toczyć normalnie jak w każdy inny dzień Wszystkich Świętych. Będą kwiaty, mnóstwo kwiatów, wieńce i wianuszki, świece i znicze, procesja i modlitwy i to szepciem wypraszone u Boga zmiłowanie... *spokój wieczny racz im dać Panie*. Tylko stale poszerzany cmentarz i co rok zwiększająca się liczba grobów przypominają o przemijaniu, któremu podlegamy, dwanaście wymarłych pokoleń, ponad 38 tysięcy dokonanych pochówków, to żniwo śmiertelności, udokumentowane w zapiskach tej przeszło dwustuletniej nekropolii nowotarskiej.

Maria Giłka

OD WSPOMNIENI DO WSPOMNIENI, OD SŁOWA DO SŁOWA

Kupić nie kupić, powspominać można... – pomyślałam i zabrałam się do pisania, choć rozum ironizował – po co to pisać? Kto to będzie czytał? Ale serce mówiło: pozwolisz by poszła w zapomnienie ta jedyna w swoim rodzaju sielsko-anielska atmosfera naszego miasteczka sprzed wielu lat. Po sąsiedzku żytego, honorującego zasady obywatelskie... Miasteczka, w którym społeczność żyta była zawsze i od pradziadów posługująca się przydomkami, co tworzyło swoistą odrębność, czyli naszą małą ojczyznę. A w tej małej ojczyźnie wysiadaliśmy sobie w letnie wieczory i niedzielne popołudnia przed domami na ławeczkach, w sympatycznej sąsiedzkiej życzliwości. Do kościoła chodziliśmy na wotywę albo na sumę, dawaliśmy nawzajem pozor na nasze mienie. Wspieraliśmy się radą, pomocą w różnych okolicznościach życia – szanując starość, folgując dzieciom i jednomyślnie stawiając wysokie wymagania młodym.

Wtedy to po mleko chodziliśmy z borenką, po śmietanę ze słoikiem, po jajka, ser, masło na targ ze swoim opakowaniem, a po mięso na jatki, po drób na jarmark. Przy wyborze kogutka czy kury dmuchaliśmy w te kurze kupry, czy aby nie są sine, zabiedzone, chude. Na tymże targu usłyszałam dowcipną odpowiedź mieszczeni dającej odprawę targującej się z nią o kogutka wczasowiczce: *za tyle to niech paniusza lepiej sobie pudru kupi*. Odpowiedź zgodnie z tamtą logiką śmieszna i adekwatna do naszego poczucia humoru. Ową mieszczenką była pani Pawлуskiewiczowa, ta sama, która w dzień Bożego Narodzenia poprosiła męża aby poszedł i wrzucił krowom siana, ale on ani drgnął i nadal czytał gazetę. Więc kiedy po trzech godzinach z kolei gazda zapytał żony: *wrzuciłaś krowom?* Usłyszał: *nie, ale dałam im gazety, niech se też poczytaję*. I jako się rzekło, tak i było, bo za drabinkami zamiast siana pyszniły się ilustrowane tygodniki. Jak jakiś nie pozbawiony sensu morał...

Z tamtych dawnych lat zapamiętałam wiele różnych zabawnych historyjek. Te przypadkowe pocieszne zdarzenia, czy zamierzone żarty, błazenady, ubarwiały nasz pocziwy świat czyniąc go swojskim i jedynym w swoim rodzaju, dlatego godnym utrwalenia. Więc zgodnie z tak pojętą sugestią snuć będę

dalsze wspomnienia. Teraz na przykład o panu Tadeuszu Ć. Ten przedsiębiorczy obywatel Nowego Targu jadąc po towar samochodem ciężarowym do Krakowa zabrał z sobą swoje dwie córki. Tam kupił im po bananie – takim wymownym symbolem dobrobytu. Dziewczynki, wtedy już nastoletnie, wróciły do domu trzymając w ręce te banany ujeżdzone do połowy. Na uwagę matki – *o, macie banany?* – wybuchnęły z pretensjami: *e tam, jakieś banany, takie to twarde i twardziste, ino w środku trochę słodkie*. Więc wiele było śmiechu, kiedy już pouczone, wykrzyknęły: *o, to żarłyśmy ze skórą?*

A gdzieś tam ponad nami realizowano wtedy sześciolatki, lansowano stachanowców pracy socjalistycznej, ale u nas było prawie jak dawniej. Jedyne nową szkołę pobudowano w miejsce spalonych w czasie działań wojennych. I otwarto łaźnię miejską w budynku tuż przy moście, co – było nie było – bardzo podnosiło standard miasteczka. Ale milowym krokiem postępu w tamtej ludowo-robotniczej rzeczywistości stało się dopiero otwarcie w rynku kasy biletowej oraz przystanku autobusowego z trzema stanowiskami dla autobusów. Wybrukowane sześcienną kostką stanowiska z peronami dla pasażerów, oświetlone kulistymi lampami oraz rzucające się w oczy żółte rozkłady jazdy wyznaczały kierunki w cztery strony świata a wypisane na nich trasy, np. Zakopane – Warszawa przez Radom, Kielce, czy trasa Szczawnica – Katowice przez Kraków, Brzesko tchnęła egzotyką. Już bowiem Kraków wydawał się nam być na antypodach po wycieczce jaką odbyliśmy jako uczniowie liceum im. Seweryna Goszczyńskiego pod sam koniec lat czterdziestych do teatru na „Wesele” Wyspiańskiego. Wycieczka, którą wspominam trwała dwie noce i jeden dzień. Jedną noc zajęła nam podróż koleją do Krakowa, w dzień zwiedzaliśmy Kraków, wieczór zaliczyliśmy spektakl w teatrze i znowu powrót pociągiem jadącym z szybkością pewnie nie większą niż 20 km na godzinę.

Nic więc dziwnego, że nowo otwarty dworzec PKS stał się naszym oknem na świat. Tu przychodziliśmy popatrzeć na modnie ubranych pasażerów linii dalekobieżnych, a zwłaszcza na będące w przewadze wytworne panie, także na eleganckich panów i ich zasobne bagaże. Obrazki te odbieraliśmy jak kadry z filmu nakręconego gdzieś tam, w innym świecie. Dla nas niedostępnym. Może dlatego chcieliśmy choć na chwilę w tym świecie zaistnieć. A mogliśmy to osiągnąć jedynie czystym podstępem i chytrze stworzoną fikcją. Więc wypożyczyliśmy z mieszkania byłego notariusza pana Stysia (wtedy już 80-latka)

walizkę. Ech, ale jaką walizkę! Skórzaną, z mosiężnym zamkiem i mosiężnymi skuwkami na rogach. Oraz okrągłe pudło z uchwytem brązowego koloru, obszyte beżową lamówką. W czymś takim przed wojną woziło się kapelusze. Wypożyczany przez nas ekwipunek podróży elegancją i oryginalnością bił na łeb najpiękniejsze nesesery podróży dalekobieżnych autobusów. I to dodawało nam pewności siebie kiedy zdyszane wpadałyśmy jako pasażerki do mającego jechać do Zakopanego autobusu, który przyjechał właśnie z Warszawy, pytając: *panie kierowco, czy ten autobus jedzie do Warszawy?* By po chwili znowu pchać się do autobusu jadącego do Warszawy i pytać: *panie kierowco, czy ten autobus jedzie do Szczawnicy?* Zabawa była przednia, bo przestrzegając przepisów wsiadałyśmy tylnym wejściem, a wysiadały przodem. Więc musiałyśmy się przepychać przez cały autobus z naszymi ekskluzywnymi bagażami robiąc przy tym masę zamieszania, potrącając, przeprasząc tą nobliwą, wygodnie siedzącą elegancję. Ale przecież o to chodziło, bo przez tę chwilę czułyśmy się zrównane w statusie społecznym z ową wykwintnością. Jak już tak napodróżowałyśmy się do syta w wyobraźni i w rzeczywistości, skruszone oddawałyśmy wypożyczone rekwizyty by powrócić do powszedniości, czyli do rozwiązywania równań, wkuwania słówek łacińskich, dat historycznych itp. Ot! Nasza młodość chmurna, bo biedna, ale za to w humor i fantazję bogata...

Wraz z utrwalaniem się socjalizmu coraz powszechniejsze stało się opijanie wszelkich możliwych wydarzeń, np. wypracowanie premii, awansu zawodowego, osiągnięcia dobrych wyników we współzawodnictwie, otrzymanie nagrody itp. Czasami odbywało się to w miejscu pracy po jej zakończeniu i taką właśnie jedną historię pragnę tu opisać. Właśnie minęła 17.30. Dyrektor działu transportu PSS Orkan, mieszczącego się w oficynie kamienicy przy ul. Sobieskiego bardzo się spieszył chcąc zdążyć do domu przed żoną, która pracowała do godz. 18.00 i właśnie znajdował się mniej więcej w połowie ogromnej sieni wjazdowej, kiedy padł głośny strzał spotęgowany echem odbitym od sklepienia sieni. Pan Władysław M. przekonany, że stał się ofiarą zamachu padł jak długi na ziemię pytając sam siebie: *ale dlaczego?* Czując, że jeszcze żyje, zaczął wzywać pomocy i jęczeć w niebogłosy. Pierwsi dopadli do niego koledzy, którzy tuż po nim zakończyli biesiadę. Przerażeni, klęcząc nad leżącym pytali co cię boli, gdzie jesteś ranny? A on stękając odpowiadał,

że wszystko go boli, i że to na pewno ten skurwiel Gałązka strzelił do niego. Bo sekundę temu minęli się w bramie. Ale przecież sam obywatel Gałązka równie przestraszony stał obok w ręku nie mając żadnej broni palnej. Po chwili okazało się, że to strzeliła dętka w kole furgonu rozwożącego chleb, a zaparkowanego w tejże sieni. Trafiona i przed chwilą śmiertelnie ranna ofiara po tak cudownym uzdrowieniu znowu miała okazję do wypicia, tym większą, że należało przeprosić posądzonego o nikczemność domnianego zabójcę. Wrócili więc do biura, aby w tej intencji obalić jeszcze jedną flaszkę. Wymieniony Gałązka był znanym obnośnym handlarzem proszku DDT i ów specyfik reklamował mniej więcej tak: *DDT tępi muchy, pluskwy, karaluchy, proszek nie ruski ale pański, bo amerykański.*

Dość powszechną praktyką stosowaną na budowach socjalistycznych było zatrudnianie woźnicy z koniem i wozem. Rzecz nie byłaby godna uwagi, gdyby nie koń woźnicy Jaśka Kwaka, przydomek *Ciuga*. Który miał dwa wcielenia: jedno spolegliwe, drugie narwane – sprinterskie. Jeśli jechał Jasiek wozem z załadowanym towarem i spotykał na drodze furmanki poruszające się z tą samą prędkością co on, to koń ze zrozumieniem ciągnął za sobą wyładowany wóz. Jeżeli jednak napotykał jakiegos fiakra i ów pojazd poruszał się z dużo większą prędkością, przy tym radośnie „kląkając” podkowami o asfaltową nawierzchnię – diabeł wstępował w Jaśkowego konia, zamieniając go w wyścigowego Araba. Przez te skłonności nosił dość znamienne imię *Kurwica*. Któregoś dnia jechali ulicą Ludźmierską w idealnej komitywie, koń i woźnica. Niestety, tym razem Jasiek trochę późno posłyszał lekkim truchtem pędzącą dorożkę, wiozącą pasażera na dworzec kolejowy i nie zdążył zahamować zapędów konia. *Kurwica* przystąpiła do wyścigu, próbując prześcignąć dorożkę. Już zrównując się w tym biegu z fiakrem o mało nie potrafiła idącej skrajem drogi paniusi. A potem stanęła równo z zatrzymującą się dorożką. A tam czekał już rozeźlony wyścigiem milicjant obiecując już na wstępie Jaśkowi kolegium. Wypadki jednak potoczyły się zgoła inaczej. Jasiek winę zwałił na konia mówiąc: *to wszystko przez tę Kurwicę*. I dostał parasolką przez łeb od paniusi, której omal nie przejechał, a która była przekonana, że to ją miał na myśli tłumacząc się milicjantowi. Wobec czego władza nie chcąc wikłać się w protokoły o obrazie, pobiciu itp. na pouczeniu zakończyła dochodzenie.

W tamtych czasach dość zwyczajne było robienie zakładów, o byle co i byle z jakiego powodu. Formułka: *no to zatóż się!* była w stałym obiegu. Do założenia się sprowokowano nawet zdyscyplinowanego Staszka P. ksywa *Siuniu*, że wybijie szybę w kiosku PSS Orkan, w którym sprzedawała jego żona. Nadzieją na dobrą zabawę był fakt, że żona Siunia była osobą impulsywną, energiczną, a Siunia trzymała krótko. Więc taka konfrontacja mogła być ze wszech miar widowiskowa. Szybko ustalono warunki wnosząc jedyną poprawkę, że zakładający się może mieć w rękę kamień. Określono nagrodę, obstawiono zakład, wyznaczono sekundantów. Rozstrzygnięcie zakładu nie trwało długo bowiem kiedy po trzech głębszych zdesperowany bądź co bądź Siuniu stanął przed kioskiem w miejscu kupującego w asyście dwóch świadków z powziętym zamiarem wybicia szyby – żona zdezorientowana towarzyszącą mężowi asystą uśmiechnęła się pobłaźliwie, czego nie robiła często, wymagała bowiem od Siunia stałej trzeźwości. Zaskoczony więc Siuniu odpłacił się żonie szerokim uśmiechem i to wystarczyło, aby w mgnieniu oka ona stała się sobą, wykrzykując: *co się śmiejesz, błaznie jeden*, na co obrażony mąż odkrzyknął: *ja błazen, krucyzek* i szyba została wybita, a zaraz potem podbite zostało oko Staszka. Dalej już było tylko dużo śmiechu, nikt nie miał do nikogo pretensji, ona – że on robi takie głupie zakłady i on – że zaraz na miejscu otrzymał zapłatę. A że rzecz miała miejsce w środowisku budowlańców, szyba została ekspresowo na koszt resortu budowlanego wprawiona.

Taka ogólna wesołość pobudzała stale do wymyślania wciąż nowych prowokacji do zakładów. Np. po ilu okrążeniach rynku podpity majster odcinka drugiego budowy kombinatu Józef Woźniak zorientuje się, że wciąż jeździ dookoła, zamiast podążać w kierunku miejsca zamieszkania, gdzie miał zamiar jechać, gdyby nie przekupiony dorożkarz i prowadrzy zakładu. Impuls do zabaw kosztem następnego wyzwanego do zakładu trwał ustawicznie. Dzielono się rolami, obstawiano opcje *wygra-przegra*, wybierano wkręcającego i pocono się nad wymyślaniem powodów do zakładów. Ten sam proceder stosowano do zakładania się np. kto zje całą gęś w czasie np. pół godziny, albo z ilu jaj potrafią zjeść jajecznicę wrobieni zawodnicy, przy czym stawka wyjściowa zaczynała się od dwunastu jaj. Miejszem tego rodzaju rozgrywek była melina „Pod krzyżykiem” przy ul. Ludźmierskiej – główna baza gastronomiczna budowlańców kombinatu.

To ciągle szukanie powodów do uciechy przenosiło się też na inne dziedziny, np. kiedy obfity deszcz zmiękczył ziemię na placu budowy, dookoła tworząc błoto po kolana, to dowcipni budujący kombinat wymościł dla pracujących już wtedy w fabryce ludzi podstępna ścieżkę, która zaczynała się specjalnie wysypaną żużlem nawierzchnią, potem tylko kawałek, taki na trzy kroki, błota, a potem już suchy jak pieprz arkusz styropianu – tyle, że leżący na obfitej w wodę młace. Ale przecież o tym nie wiedzieli amatorzy przygotowanego skrótu, więc zabawę budujący mieli świetną, tym większą gdy na ścieżkę wkraczała wyfiokowana urzędniczka albo jakiś eleganck... Najpierw pewne kroki po żużlu, potem kroki zbliżone do skoków przez błoto i wreszcie – hip na styropian, który podejrzenie mlaskając chlastał rozcieńczonym błotkiem na delikwenta. Na to przecież czekali budujący z mozołem halę przyszłego *mechanika*, ale przecież śmiech był konieczny, aby lepiej smakował chleb z wątrobianką albo konserwą turystyczną, popijany zbożową kawą.

W czasach PRL-u nagminne było urządzenie narad i konferencji na różnym szczeblu. Na jedną z takich narad na szczeblu ministerialnym wydelegowane zostały cztery osoby z pracowników Budownictwa Przemysłowego Kraków – Południe, budujących Zakłady Przemysłu Skórzanego w Nowym Targu. Wydelegowani mieli złożyć krótkie sprawozdanie oraz zobowiązanie całej załogi o skróceniu czasu budowy gumowni. Zaproszeni na naradę delegaci z Nowego Targu, czteroosobową grupą zajęli miejsce w ostatnim rzędzie pod ścianą. Bowiem ten rząd dawał im najlepsze możliwości czasowego wyłączania się od wygłaszanych godzinami sprawozdań. Podobnego zdania była zresztą większość zebranych, stąd ostatnie rzędy były zajęte, a pierwszy rząd pozostał pusty. Nic więc dziwnego, że jedna z osób w prezydium poprosił, aby siedzący w ostatnim rzędzie przesiedli się do rzędu pierwszego. Tym samym wyluzowana dotąd odległością grupa nowotarskich mężczyzn znalazła się pod ostrzałem – nie wiedząc co począć z dwoma butelkami i musztardówką, które nieporadnie trzymali w rękach. Nie byłoby pewnie w tym nic złego, gdyby ważnemu mówcy nie zaczęło zasychać w gardle. Więc pochrzäkując na migi prosił o nalanie mu trochę z trzymanyh przez delegatów butelek. Błdy strach padł na siedzących w pierwszym rzędzie, więc udawali, że nic nie rozumieją, ale długo udawać się nie dało, bo mówca konkretnie wyraził swoją prośbę: *proszę, nalejcie*

mi, wtedy zaczęli się wzajemnie wypychać, kto ma podać ową nieszczęsną musztardówkę z nalaną zawartością. Certoląc się wreszcie podali, a łaknący wody przełknął, zakaszał i potem chwilę smakował, wreszcie zapytał: *coście wy mi tu nalali?* Ale odpowiedzi nie było. Bo co mu mieli powiedzieć – że to przednia łącka produkcja? Ale nic nie było im darowane, bo po raz drugi przemawiający zażądał wyjaśnienia. Więc zdesperowani odpowiedzieli, że to kompot i po chwili dodali, że śliwkowy. Na co usłyszeli z drwiną wypowiedziane trzy słowa: *ale jaki sfermentowany*. Wtedy Franek, majster ze Starego Bystrego pieknom gwarą pedziół: *ale to nie my go gotowali sumiennie, ani my go jesse nawet nie próbowali, ale przykisznąć to może i mógł wskrusz tej długiej jazdy*. Salwa śmiechu wstrząsnęła salą ubawioną odpowiedzią Franka. A na zmyślnych delegatach z całej mowy dyrektora naczelnego Roguckiego tylko ostatnie słowa zrobiły wrażenie: *jak przyjadę do Nowego Targu to wam nogi z d... powyrywam*. Ale nie powyrywał, bo to przecież byli delegaci, czyli sam kwiat rodzącej się klasy robotniczej.

W tamtych czasach w naszym małym świecie mieliśmy przecież też jakieś autorytety niekwestionowane, ciekawe osobowości do poważania. Ale i oni wykazywali duże poczucie humoru i skłonność do żartu, o czym może świadczyć niżej opisana heca, której autorami byli inż. Władysław B. – dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego w Nowym Targu, oraz pan Tomasz M. – przedwojenny radca prawny, a zarazem właściciel domu przy placu Słowackiego. Szczegółem, który wyróżniał ten dom, a właściwie chałupę od innych w mieście był wysoki komin. O ten komin, a właściwie o jego rozbiórkę, założyli się zaprzyjaźnieni koledzy od brydża, a wymienieni już wcześniej z imienia panowie. Wygranie zakładu nie było łatwe, bo jeden człowiek nie mógł zdziałać nic, ale wielu i owszem. Więc pan Władysław B. poszedł na całość wykorzystując wyjazd do Krakowa właściciela chałupy Tomasza M. i wysłał całą ekipę do wyburzenia komina. Zaskoczona pomysłem żona nawet nie bardzo protestowała, ale nie przestawała się dziwić, że tak ani słowa o zamierzonym remoncie jej mąż nie powiedział. Pan Tomasz M. swoją przegraną dostrzegł, kiedy wracał do domu widząc dom niby ten sam, a nie ten sam bo już bez komina, ale co mógł zrobić? Jedynie sobie pomyśleć, no to mnie ma, no to zrobił ze mnie frajera i natychmiast szukać sposobu odegrania się.

Skoro sięgnęłam już do przykładu z tej kategorii wesołości to przytoczę jeszcze jeden, który wprawdzie w zamiarze dotyczył tylko jednej rodziny ale ubawił wielu. Bohaterem tej hecy był Stefan M., który napominany przez żonę w wygłoszonym przez nią monologu pretensji typu: *bo ciebie to nigdy nie ma... bo wszystko na mojej głowie... bo nawet wody nie naniósł... skruszony wyrzutami na drugi dzień naniósł jej tyle, że zapełnił wszystkie wiadra, garnki, szklanki a nawet kieliszki. Zaś innym razem kiedy żona ubolewała, że nie zadbał o to by było drzewo na podpałkę, przytaskał na klatkę schodową pod same drzwi mieszkania drzewo w jednym kawałku. Na drugi dzień kiedy otrzeźwiał sam Stefan, jak i czterech jego kolegów wynosząc ciężar dziwili się jak w pojedynkę mógł tego dokonać. Ale Stefan M. to nie był ułomek, ale chłop, do tego dusza towarzystwa, miłośnik wszelkiej wesołości, „król życia”. Jeden z tamtych wielu, którzy tworzyli niegdysiejszą społeczność wierną zasadom, rodzinie, kościołowi, ojczyźnie. Ale i osobistą wolność ceniący wysoko.*

Śmiechu warte było też urządzone przez pracowników Młodzieżowego Domu Kultury spotkanie dla emerytów. Wtedy to proces od pomysłu do realizacji był krótki. Władza mówiła do nas w liczbie mnogiej *musicie, zrobicie, zaprosicie* i miała problem z głową, za to innych głowa zaczynała boleć. No bo mamy zorganizować wieczorek dla emerytów z całego miasta, ale jak? Na pierwsze tego rodzaju spotkanie wciągnęliśmy uczestników naszych kółek artystycznych, ale nie powiodło się, bowiem zapraszani emeryci tradycyjnie już częstowani byli kanapką z szynką, ciastkiem i herbatą. Więc już na wstępie ulegając pokusie smaku szynki olewali recytacje, śpiewy, tańce dzieci, poświęcając całe swoje zainteresowanie mąceniu herbaty i konsumowaniu rarytasu, szynką zwanego. Dlatego nie chcąc narażać dzieci na taką przypadkową ignorancję sami musieliśmy wziąć sprawę w swoje ręce i zabrać się w artystów estradowych. Dobrym duchem tej naszej samozwańczej „trupy” aktorskiej stał się pan Jan K., znany plastyk, który czując powagę sytuacji z poświęceniem bawił nowotarskich emerytów, sam zresztą będąc z Zakopanego. A że miał niezwykle poczucie humoru oraz wybitne zdolności komiczne – wkrótce stał się ulubieńcem emeryckiej publiczności wcielając się w postać *Perdziółka*, wygłaszającego monologi na wzór sołtysa Kierdziółka. Sekundowała mu w tym Stacha P., która z powodzeniem naśladowała Hanke Bielicką, umiejętnie parodiując jej głos i śmiech. Teksty pisaliśmy sami, więc

osadzone były w realiach miasteczka, ale czasami życie wymuszało na nas specyficzną treść. Oto przykład. Stacha, ustrojona już na Bielicką wchodząc na scenę, na której kończył wygłaszać swój monolog Jasiu potknęła się i szpetnie zakłęła. Więc cofnęła się za kulisy i skonfundowana nie chciała ponownie wyjść. Przewidujący to Jasiu jeszcze coś do monologu dodał, a że z rękawa czerpał humor wierszowanym komentarze ratował sytuację wykrzykując: *ooo, co to się stało pani się potknęła i do tego głośno se przyklnęła* (tu podniósł leżący na scenie kapelusz Bielickiej, podał za scenę i czekając dalej nawijał) *kapelusz zgubiła, wstydu narobiła, a teraz się wstydzi, że z niej będą szydzić*. Po tej kwestii chwilę zaczekał, a że Stacha nie wychodziła to zakrzyknął: *ja chromołą zawstydzenie bo chcę kończyć przedstawienie. A więc wychodź moja miła, potem się będzie wstydziła...* Pomogło, było dużo braw i wszyscy myśleli, że scenka ta leżała w zamyśle autorów.

Dzisiaj wspominam tamte czasy niełatwe, rzeczywistością prymitywne, ludzką więzią przymilne, i poczuciem humoru ubarwione. Ale myślę, że śmialiśmy się nie tylko z innych, ale umieliśmy śmiać się również z siebie. Tak było ze mną kiedy zatrzasnęłam się w wychodku w pałacu młodzieży w Krakowie. Zatrzaśnięta na amen, pukałam, stukałam, klęłam, wołałam – bez skutku. Pomoc nie nadchodziła. Obawa, że narada się skończy i wyjadą beze mnie, zmusiła mnie do radzenia sobie samej. A wyjście było jedno, górą do następnej kabiny, o ile będzie otwarta, albo do jeszcze następnej. Balansowanie ponad ściankami działowymi, wysokimi na ponad dwa metry, nie było łatwe, ale trzydzieści pięć lat do tyłu i trzydzieści kilogramów mniejsza masa ciała dawały mi realną szansę. Przelazłam właściwie bez najmniejszego uszczerbku. Jedyne sponiewierana była moja duma. Kiedy dotarłam mocno spóźniona na naradę wyczułam, że moja nieobecność została już skomentowana publicznie, pewno mniej więcej tak *urwała się na miasto*. Więc nie wytrzymałam i przerywając naradę powiedziałam *przepraszam ale zatrzasnęłam się w waszej toalecie czekałam z nadzieją, że mnie ktoś stamtąd wypuści, ale się nie doczekałam. A wspinanie się na muszlę, z muszli na klamkę, z klamki przez przegrodę na drugą klamkę, z klamki na muszlę, z muszli na ziemię, zabiera trochę czasu. Nie jest mi przykro z powodu spóźnienia się, jestem tylko bardzo zła, że niby w pałacu a takie zakichane zamknięcia w wychodkach macie*. Po moim wystąpieniu zrobiło się wesoło, było mnóstwo pytań, aluzji, ale wszystkie sympatyczne, w duchu tamtych czasów.

Wspominając historyjki z przeszłości nie przytaczałam konkretnych dat, nie wszystkich wspominałam z nazwiska – bo i po co? Przecież zamiarem moim było raczej oddanie atmosfery z tamtych lat. Atmosfery wyjątkowej, bo w tle z ludźmi tamtego wieku, tamtych zasad, tamtych zapatrywań, którzy niestety systematycznie odpływali niezauważalnie w przeszłość. Ale przecież kiedyś tam spowinowacony ze mną pan Antoni Karwowski zwykł był mi mówić *nie oglądaj się do tyłu, bo zobaczysz pustkę...* Wtedy nie bardzo to rozumiałam, ale z latami pojęłam głęboki sens powiedzenia i pewno dlatego stworzyłam sobie na swój użytek aleje pamięci, stawiając w niej monumenty ludziom, wydarzeniom, wspomnieniom... Niech trwają i dają świadectwo minionemu.

Maria Gilka

O CZŁOWIEKU I ARESZCIE

W tytule zestawiałam ze sobą dwa słowa, przyjmując, że słowo *człowiek* określa istotę stworzoną na obraz i podobieństwo boskie, ale pełną niedoskonałości. Zaś areszt jest konsekwencją tych ludzkich ułomności. W dalszych wątkach opowiadania kolejność słów odwróciłam, aresztowi przypisując zło tego świata, a człowieka czyniąc przypadkową ofiarą. To moje dość zawile rozumowanie może mieć sens jedynie poparte logicznymi przesłankami. Dlatego sięgnęłam nawet do dawnych dziejów Nowego Targu, aby i tam znaleźć potwierdzenie dla mojego postrzegania świata. W książce Adamczyka dzieje miasta Nowego Targu na str. 77 czytamy brzmiące jak horror dwa wyroki sądu:

Za obrazę władz miejskich, próby samobójstwa i zaczepianie ludzi do kłóttni i hałasu sąd ławniczy skazał w 1750 mieszczkę Zofię Cholewową na ścięcie mieczem. Wyrok ten władza starościńska zatwierdziła. Dzięki interwencji licznych osób i na wzgląd na dzieci skazanej darowano jej karę.

Przekazana do aresztu nowotarskiego szlachcianka Anna Borkowska za podpalenie dziewięciu domów we wsi Ostrowsko na torturach przyznała się ponadto do dzieciobójstwa i otrucia męża za co skazano ją na targanie za piersi rozpalonymi kleszczami na czterech rogach miasta, a potem spalenie żywcem. Przychylność władzy starościńskiej do skazanej i współczucie dla niej wielu wpływowych ludzi sprawiły jednak, że zamieniono jej karę na ścięcie za kapliczką św. Doroty i spalenie zwłok.

Zacytowane powyżej świadectwa urzędniczej jurysdykcji to jedna sprawa, a druga to losy tych dwóch istnień ludzkich osadzonych i oszczędzonych zgodnie z prawidłami człowieczego rozumowania: jest wina, musi być kara. To wprawdzie tylko suche fakty, ale wyobraźnia może dopisać resztę. Strach, ból, bezsilność, wreszcie sam akt wykonania wyroku. Kat i siłą doprowadzona pod katowski pień skazana. W zasięgu wzroku tylko kapliczka, a raczej jej tylna ściana i gapie szukający wrażeń. Pod nogami słoma, jedyny znak troski aby odcięta głowa i reszta nieżywego ciała miękko spadła na nią, nim spocznie na przygotowanym stosie w celu unicestwienia. Wywlekając z zamierzchłej przeszłości te wstrząsające w swej wymowie okrucieństwa

chciałam nawiązać do nowotarskiego aresztu. Jakkolwiek w zapisie sądowym o Annie Borkowskiej figuruje sformułowanie *została przekazana do aresztu nowotarskiego* – to nie mogło to dotyczyć w żadnym razie więzienia przy ul. Szerokiej, później przemianowanej na ulicę Harcerską, bowiem to więzienie w dokumentach sądownictwa odnotowane jest nieco później.

Z mojego dzieciństwa dobrze pamiętam tamten *hareśt*, w którym wysokie mury zakończone rozciągniętym drutem kolczastym z trzech stron otaczały budynek więzienny. Zza muru od strony wschodniej widoczne były okna z cel na piętrze zabite drewnianymi osłonami, które dopuszczały światło ale wykluczały wyglądanie na ulicę. Widok z tych okien był wprost na synagogę przez nas nazywaną *buźnicą*. Budynek ten, choć tak odmienny w swej użyteczności, szybko wrósł w miasteczkowy krajobraz. Budził respekt, ale wyglądał przyjaźnie, z dzwonkiem przy wejściu i śpiewem dochodzącym z kaplicy na piętrze aresztu. Pamiętam ten *hareśt* też z innego powodu. Moja daleka krewna odsiadywała tam wyrok jednego miesiąca pozbawienia wolności za kradzież maszyny do szycia, która testamentem przeznaczona była jej siostrze. Widocznie wtedy sądy były rychliwe, a wyroki pouczające. Bowiem *ciotcyna* odsiadka stała się puentą, którą karmiono młodych w rodzinie udowadniając, że w rzeczy samej chytry dwa razy traci.

Po wkroczeniu Niemców w 1939 r. to ludzkie, bo sprawiedliwe więzienie nowotarskie zmieniło się w przedsionek piekła za sprawą gestapowców i całego reżimu hitlerowskiego. Ja jako siedmioletnie już dziecko, poznałam znaczenie słów: więzień polityczny, klucznik, Oświęcim, wywózka – za sprawą profesora z Rabki, znajomego moich rodziców, któremu zanosiliśmy jedzenie aż do chwili, kiedy klucznik nie odebrał od nas borenki z kawą i paru kromek chleba z marmoladą informując, że aresztowany został wywieziony. Wtedy to zapodział się gdzieś spokojny i bezpieczny świat mojego dzieciństwa. Terror i wszystko, co niosło z sobą okupowanie Polski musiało mieć wpływ na przyspieszony rozwój w odpowiedzialną dorosłość nas, dzieci.

Jak można bowiem dziecięcym rozumowaniem pojąć, że zabicie swojej świni czy krowy karane jest śmiercią! Pamiętam, że taki wyrok za zabicie krowy wykonano na mieszkańcu Krauszowa i jego synach w roku 1942 tuż za cmentarzem nowotarskim. Myślę że owi rozstrzelani musieli się otrzeć o cele więzienne w mieście, nim zakończyła się ich gehenna o pomstę do nieba

wołająca. Wiele lat później budynek byłego więzienia stał się moim miejscem pracy, bowiem tu mieścił się i mieści nadal Młodzieżowy Dom Kultury.

Na samym początku mojej pracy wewnątrz tego budynku nie kojarzyło mi się z byłym więzieniem, nie budziło żadnych emocji ani refleksji do czasu, aż odwiedził nas pan Tadeusz Ćwiertniewicz – przed wojną mieszkaniec Krościenka, za okupacji obywatel Nowego Targu. On to, aresztowany i osadzony w celi nowotarskiego więzienia w początku roku 1940, teraz obywatel wolnego kraju, przyleciał z Ameryki odwiedzić rodzinę i przy okazji pokazać któremuś ze swoich dzieci celę, w której siedział. W zwiedzaniu tym towarzyszyłam panu Ćwiertniewiczowi wraz z koleżankami z pracy, a to co usłyszałyśmy, na zawsze zmieniło nasz stosunek do budynku i kawałka tej ziemi zamkniętej w obszarze więziennych murów. Opowiedział nam, że siedział w celi razem z młodym Lwowiakiem, którego Niemcy posądzali o szpiegostwo, a który tak naprawdę był uciekinierem próbującym odnaleźć swoją rodzinę będącą tak jak i on na tułaczce wojennej. Wczesnym rankiem któregoś dnia wyprowadzili Lwowiaka na tylny podwórzec i tam rozstrzelali. Po chwili dodał jeszcze, że chłopak widząc co go czeka próbował uciekać i z nadludzkim wysiłkiem odbił się od ziemi chcąc przeskoczyć mur, bagatela, prawie cztery metry wysoki. Trafiony serią upadł na ziemię. Tyle relacja z ust wiarygodnego świadka. Ale wyobraźnia dodaje więcej. Że kiedy już leżał powalony na ziemi w cichym proteście, poruszył jeszcze bosymi stopami jakby chciał biec dalej. Martwe zaś źrenice jego oczu zapatrzyły się na błękitny skrawek wolnego nieba. W celi jak wyrzut sumienia pozostały po nim jedynie sfatygowane tenisówki.

Byłyśmy wstrząśnięte tą relacją, więc wolny mój duch zaraz dodał posługując się mową naszych narodowych wieszczów... tu leżał młody Polak, któremu obca była wrogość i nienawiść sponiewierany przez wroga w swoim człowieczeństwie. Zetknięcie się z takim dramatem miejsca spowodowało, że poczułyśmy się, jakbyśmy przez przypadek stanęły na grobie. Co mamy zrobić? – zapytałam sumienia. Tylko jedno na razie – wykarczować panoszące się tutaj zielsko, usunąć zardzewiałe żelastwo, zagrabić do czysta – niech goła ziemia swą wymową czci pamięć zamordowanego. I tak się stało...

Ale jak uświęcić inne miejsca? Choćby to przed więzieniem, gdzie opierał się przed wprowadzeniem do aresztu Michała Kurasia na miejscu rozstrzelano. Od tego czasu zaczęliśmy dostrzegać i inne przejawy łączące nasz

dzień dzisiejszy z martyrologiczną przeszłością tego budynku. Np. którego dnia w korytarzu na parterze spotkałam starszego mężczyznę i zapytałam go w czym mogę mu pomóc. On ociągając się powiedział, że chciałby swoim dorastającym dzieciom pokazać gdzie przesiedział 32 dni zanim wywieźli go do obozu koncentracyjnego. Nie mówił wiele o katowaniu w czasie przesłuchań, ale o strasznym uczuciu strachu, kiedy w lipcu 1941 roku wywołano z cel sześciu więźniów, założono im kajdanki i wyprowadzono przed budynek, gdzie czekał na nich już ciężarowy samochód i pod eskortą uzbrojonym w automaty SS-manów wywieziono ich w nieznaną. Nikt z nich nie wiedział przecież czy za chwile nie staną gdzieś w lesie nad wykopanym dołem. *Ale ja po swojej śmierci – powiedział starszy pan – wywieziony zostałem do obozu w Ravensbrück. A obóz przetrwałem jedynie dzięki temu, że udało się zmienić mój obozowy numer na numer zmarłego na tyfus więźnia.*

Takie chodzenie po korytarzach, zagłądanie do okien i rozpamiętywanie tego co działo się tutaj za okupacji nie należało do rzadkości. Przychodzili bowiem ludzie, którzy przed wywózką na roboty do Niemiec, siedzieli w celach po parę dni, nim zebrała się odpowiednia liczba pojmanyh Polaków, przyszłych bezpłatnych robotników Rzeszy. Ci, którzy siedzieli z tej okazji wspominali, że było ich przeważnie po 40 osób w jednej celi. Więc mogli siadać na podłodze tylko na zmianę: część stała, a druga część siedziała. Przychodzili też ludzie, którzy przy okazji bycia w Nowym Targu odwiedzali to miejsce, w którym więzieni byli ich bliscy, a którzy nigdy do domów swoich nie powrócili. Zdarzyło się i tak, że którego dnia odwiedziła mnie w miejscu mojej pracy moja serdeczna przyjaciółka Hanka, która od kilkunastu lat mieszkała w Ameryce i zaraz na wstępie powiedziała... *to miejsce nie kojarzy mi się dobrze.* Ja przecież to wiedziałam, ale nawet dla niej nie mogłam nic zmienić. *Tutaj w drzwiach tego więzienia widziałam mojego ojca po raz ostatni...* A jej ojciec Walenty, miał wtedy zaledwie trzydzieści osiem lat i wszystkie powody do tego aby być szczęśliwym człowiekiem, ale wtedy w ów ranek kiedy ona patrzyła na to wszystko co wokół niej się działo oczami dziesięcioletniego dziecka, widok ojca mógł wzbudzić w niej tylko jeszcze większe jego miłowanie. Skuty, wyprowadzany przez po zęby uzbrojonych SS-manów i wielka niewiadoma czy nie stanie się tak jak stało się z jego dobrym kolegą Antonim Synowcem, który rok temu został rozstrzelany w lesie za Nowym Targiem. Czy może wywozą go do Oświęcimia gdzie trafiali więźniowie polityczni?

To spotkanie jak miało się okazać było ostatnim pożegnaniem ojca i córki... i już bez słów przemówić mogły tylko oczy i te spojrzenia przekazały miłość i troskę wzajemną i jeszcze pociechę... *nie płacz, bo i tak mi jest ciężko.*

W tym rozpamiętywaniu czasu minionego, tak dramatycznego, nie mogę nie wspomnieć o losie nowotarskich nauczycieli i profesorów, którzy w pierwszym rzędzie narażeni byli na represje, obozy, zagładę w hitlerowskim planie unicestwienia polskiej inteligencji. Odbywało się to w precyzyjnie zaplanowanych metod. Opisywane zdarzenie dotyczy pana Jana Kozaczki zabranego przez gestapowców wprost ze szkoły z lekcji, którą prowadził, a potem przetrzymywanego w nowotarskim areszcie przez trzy tygodnie, skąd wywieziony został do obozu koncentracyjnego. I znowu historia nabiera osobistego wymiaru, za sprawą wspomnień mojej szkolnej koleżanki, Janiny Kozaczki-Głut. *Był rok 1940, maj, ja i mój brat byliśmy jeszcze dziećmi, nie zdawaliśmy sobie sprawy z nieszczęścia jakie nas spotkało. I w tej nieświadomości odwlekaliśmy w czasie prawdę o tym, że ojca już nigdy nie zobaczymy. Więc żyłam przez wszystkie te lata tylko wyobrażeniami o nim, zachowując w pamięci jedynie fotograficzny wizerunek jego twarzy.*

Teraz wspomnieć muszę i innych jeszcze, którzy swoją ofiarą życia oddanego za ojczyznę zasłużyli na pamięć. Ludwik Kaszycki, Franciszek Czubernat, Leon Koczur, Andrzej Świętek to profesorowie Liceum im. S. Goszczyńskiego, o których wiem, że na pewno zginęli w obozach zagłady. Również z wielkim wzruszeniem wspominała swojego wujka Elżbieta Marszałek, wtedy pracownik MDK, o którym powiedziała tak: *to był brat mojej mamy, Wawrzyniec Borowicz, przez rodzinę nazwany Laurencem, aresztował go Szafraniec w miejscu pracy wujka, to jest w budynku starostwa, skąd doprowadzony został do więzienia i zatrzymany. Jak długo i jakie były dalsze losy tego 29-letniego mężczyzny do końca nie wiadomo. List, jaki rodzina otrzymała z nowotarskiego więzienia, był grypsem, w którym aresztowany rozporządził swoim osobistym mieniem, poprosił o oddanie książki do biblioteki, pożegnał się z rodziną polecając matce sprzedać swoje futro aby miała na wydatki. Podobno ostatni raz widziano go 24 grudnia, w dzień szczególnie dla Polaków, na pace ciężarówki, która przejeżdżała przez Rynek nowotarski kierując się w stronę Niwy. Osoba, która go widziała rozpoznała go po kurtce, twierdziła, że aresztowany robił wszystko aby był dostrzeżony przez nią, co nie było wcale łatwe przy tylu eskortujących SS-manach.*

Taka ilość różnych informacji budziła pytanie, dlaczego wyeksponowano Lenina całą i tablicą pamiątkową pomijając całkiem polską martyrologię tego miejsca? Wtedy przy różnych okazjach staraliśmy się mówić przytaczając fakty, które od naocznych świadków słyszeliśmy: pierwszym, ale wtedy najważniejszym człowiekiem, który podjął temat był Wit Wójtowicz. To on w celu szerszego poznania prawdy historycznej skontaktował się z panią Mieczysławą Chylińską, więźniarką obozu w Oświęcimiu, która również zbierała materiały o nowotarskim więzieniu. Czas okazał się trafiony, bo właśnie dojrzewał pomysł budowy placu Lenina. A jedno z drugim doskonale korespondowało. Ten dzień w którym uświęcono mur napisem: *tablica pamięci ofiar terroru hitlerowskiego miejsce uświęcone krwią zamordowanych Podhalan w latach okupacji hitlerowskiej 1939-45*. A ziemię, gdzie rozstrzelano Lwowiaka pozostawiono nagą w niemym proteście, co uznaliśmy za nasze małe zwycięstwo wobec historii. Już nie mogliśmy myśleć o sobie *wiedzieliście... więc czemu milczycie*.

Jako dopełnienie już tak przelewającego się bezmiaru zbrodni, przytoczę jeszcze dwa opisy kaźni i morderstwa. Jeden to wspomnienie dobrze mi znanej pani Heleny Suskiej, która opowiedziała mi, że została aresztowana i osadzona w celi nowotarskiego więzienia i z tej celi doprowadzana na przesłuchania do Ortskomando w Rynku. Przesłuchiwał ją gestapowiec Schmisch z tłumaczem Blaudem. Dopytywali się gdzie jest jej szwagier, oficer Wojska Polskiego, który w brawurowy sposób uciekł z obozu niemieckiego. Przesłuchania nie obeszły się bez bicia batogiem i uderzeń po twarzy. Jak wspominała pani Helena, bardziej jednak niż ból dotkliwe było poniżenie i bezsilność wobec brutalnej przemocy. Drugi przykład to opowiadanie Ludwiny Migiel z Białego Dunajca, która co dzień czekała pod nowotarskim więzieniem by zobaczyć swoją córkę. W dniu 6 marca 1944 r. zobaczyła trzech młodych mężczyzn i trzy kobiety wyprowadzane z więzienia. Wśród wyprowadzanych była jej córka Helena. Pani Migiel, którą poznałam osobiście, opowiedziała mi że jej córka, którą wyprowadzali miała stopy owinięte w jakieś szmaty, a ci trzej mężczyźni którzy rozstrzelani zostali z jej córką i z tymi dwoma kobietami z Tokarni byli boso.

Podobno pan Bóg żałował, że stworzył człowieka, ale czy można się temu dziwić w świetle tego co napisałam? Zesłany przez Boga potop miał odrodzić nowego człowieka, ale nie odrodził, a Pan Bóg przyrzekł już więcej nie karać,

więc założył ręce i czeka aż sami podetniemy konar, na którym siedzimy. Więc jeszcze tylko na chwilę oddam głos kantorowi, niech zaintonuje kadisz, skierowany do Jahwe w intencji pomordowanych Żydów, dla których być może i to więzienie było przedsiönkiem piekieł i wtedy będę mogła powiedzieć *Amen*.

No dobrze, a nie wspomnisz, że to więzienie po wojnie zmieniło tylko dzierżawców? Uciekli gestapowcy, a przyszło NKWD i UB. I to oni wbrew woli narodu zaczęli utrzymywać władzę ludową. Opornych wywozili nadal, tyle że na wschód. Do miejsc odosobnienia, z dużymi już tradycjami, określanymi mianem łagrów. Cele na nowo zapełniały się patriotycznie nastawionymi Polakami, którzy o innej Ojczyźnie marzyli. A oto kilka nazwisk: Edward Iwaniec z Klikuszowej, Kazimierz Rokicki z Nowego Targu, Józef Pitorak z Bukowiny, oraz osobisty już kontekst: mój ojciec który w marcu 1945 r., już niby w wolnej Polsce, pozwolił sobie wątpić publicznie (bo u fryzjera) w narzucony porządek, odwołując się do dziejowej sprawiedliwości, zobowiązań aliantów, rządu londyńskiego... Za swoje zapatrywania zapłacił pięcioma latami katorgi w łagrach Kaukazu, miejscowość Dźaudzikau. Gdzie wraz z wymienionymi powyżej kolegami niedoli oraz innymi jeszcze zesłańcami: Polakami, Węgrami, Czechami, wyrąbywali w litych skałach drogę do nikąd. Dziesiątkowani przez głód, zimno, tyfus, dyfteryt, z trudem przeżykając zniewolenie i upodlenie, próbowali znaleźć jakieś różnice między hitlerowskim okupantem a ruskim wyzwolicielem.

Niełatwo więc było i jest żyć ludziom urodzonym w pierwszej połowie XX wieku, ale kiedy już całkiem zwątpiłam w człowieka, w sens życia, ojczyznę i siebie, ktoś powiedział... *ech kobieto słabej wiary...* I usłyszałam.

Maria Giłka

POWRÓCISZ TU...?

Przelot tuż obok nosa udającego psa Półwyspu Skandynawskiego uświadomił Annie, że pozostawia Europę daleko za sobą. Teraz zawieszona w czasoprzestrzeni przypisanej pasażerom, myślami penetrowała życie minione i to przyszłe, spodziewane, szukając odpowiedzi na pytanie czy może zaistnieć kompromis między jej marzeniami a zdarzeniami. Ostatecznej konkluzji w rozmyślaniach nie osiągnęła, gdyż intensywny blask słońca przerwał jej rozmyślenia, wyzwalając z zakamarków pamięci, jakiś wyuczony fragment lekcji *wszystko zależy od atmosfery ziemskiej i sposobu w jaki filtruje ona światło słoneczne. W południe słońce jest najjaśniejsze*, no tak, ale tu lśni jakoś olśniewająco. A niebieskawy bezmiar przestrzeni wyobraża pustkę kosmiczną. Pod samolotem chmury, być może cumulusy albo stratusy, ale stąd nierozpoznawalne. Wszystkie wyglądają jak ogromne kalafiory kwiatostanem do góry. Takie przymusowe fruwanie ponad chmurami, choćby w parametrach najnowocześniejszych myśli technicznych budzi opory i zmusza do wyszukanego myślenia. Dlatego pewno Anna zaczęła się zastanawiać *jak głęboko zapadają się przeżycia w ludzką tożsamość, czy posiadają skalę odczuć i czy raz przeżyte, rezonują w podobnych przypadkach, no i czy ten rezonans...* – ale sama sobie tu przerwała te dociekania, bo przecież powszechnie mówi się, że życie to proza i takie ona sama odebrała doświadczenie. Pamiętasz co czułaś, kiedy Maryli jedynaczka powiedziała, *mamo ty nie licz, że ja potrafię zaopiekować się tobą tak jak ty opiekowałaś się swoją mamą*. Tak brzmiały słowa, ale podtekst był o wiele większy. Twoja starość, twoja sprawa. Bo przecież Maryla trafiła w konsekwencji do *Nursing home*. A ty, już przezorniejsza, zafundowałaś sobie wycieczkę do Polski w celu podjęcia decyzji dokonania wyboru żywota w Nowym Targu, w miejscu swego urodzenia, czy w Chicago, gdzie przeżyłaś większą część swojego życia.

W poszukiwaniach tego co minęło Anna odwiedziła wiele miejsc. I choć cofała się dokładnie po dawnych śladach, nie odnalazła wczorajszych dni. Nie istniał już dom rodzinny, pozostał jedynie budynek, ale już obcy z obcymi, i tylko sędziwa lipa przydrożna pozostała taka sama. Trochę wczorajszego odnalazła jeszcze w zapachu ziemi, w pachnościach ogródków i zagonów jak

dawniej równo miedzami podzielonych. Więc zaczęła się zastanawiać, czy życiu człowieka towarzyszy powolna degradacja dziedziczonych ideałów, wspomnień, ale fakty zaprzeczyły temu. Przecież specjalnie wybrała się do Robowa, na sentymentalne spotkanie ze skoczną narciarską, niegdyś dumą Nowotarżan, ale tej dumy już odnaleźć nie mogła. Gdzieś się zapodziała. Czy też nie dla wspomnień przesiedziała wiele godzin w Ryнку, w miejscu, które wzorując się na innych obcobrzmiących nazwach gastronomii nowotarskiej, nazwała *Steskal Garden*. Stąd łatwo było penetrować wzrokiem rynkowe kamienice wykopując z pamięci nazwiska dawnych polsko-żydowskich właścicieli. Potrafiłaby też zaludnić katolickie sklepy i żydowskie *geschefty* subiektami oraz kupującymi mieszczanami i góralami. Animować by też mogła np. osobę pana mecenasa, który spotykając nowotarską damę uchylił kapelusza i wygłaszał pełne egzaltacji powitanie: *rączki całuję szanownej pani*. Z kolei zaś ów mecenas czy rejent spotykając mniejszego rangą urzędnika bądź woźnego czy rejenta, słyszał również towarzyszące ukłonowi uniżone zapewnienie: *śługa pana mecenasa...* Ilek innych zaklętych w czasie obrazków z tego rynku zachowała jeszcze w pamięci! Choćby smak odwetu, oraz szczególnego patriotycznego uniesienia, kiedy tuż po wojnie zobaczyła przedwojennego organistę ze starego kościoła, a późniejszego volksdeutcha Wolnego, zamiatającego Rynek, uhonorowanego naleźycie namalowaną na plecach jego skórzanej kurtki swastyką, teraz symbolem jego zdrady. Mogłaby tak sobie przypominać i przypominać, ale przecież to tylko sentymenty, a sentymenty to następny psychiczny dołek.

Nagle niespodziewanie zmaterializowała się przed nią postać dawnego amanta z młodości. Poznała go po kocich ruchach wysportowanego dżentelmena, usiadł blisko niej, ale zajął się gazetą. To zaś w jakimś sensie ją obrażało jako kobietę, więc zagadała go pytając, co ma znaczyć grana z wieży ratuszowej melodia? Otrzymała wyczerpującą odpowiedź, a swoboda wypowiedzi doprawiona krztyną ironii oraz to powłóczyście spojrzenie, utwierdziło ją w przekonaniu, że to jest on. Może powinnam mu wcisnąć swój numer telefonu, fantazjowała, obmyślając romantyczną intrygę w roli głównej z nim. Pamiętała przecież, że to jej młodzieńcze zauroczenie wydawało się takie obiecujące, ale wtedy nie wiedziała, że miłość to również seks, a seks to gra na cztery ręce. To jej fantazjowanie przerwał on sam, pytając: *a pani nie jest stąd?* No cóż, nie stąd, pomyślała i odpowiedziała, że jest z Illinois, nie

chciała go intrygować używając określeń typu z Ameryki Północnej czy też Stanów Zjednoczonych. Wspominając to spotkanie pomyślała, że gdyby się bardziej postarała, po namyśle zastąpiła słowo *gdyby* słowem *jeśli*, brzmiało jakoś bardziej obiecująco, to wtedy być może... Nieoczekiwanie poczuła coś w rodzaju łaknienia. I rozumiała, że tak pewno smakuje oczekiwanie. A oczekiwań miała dosyć. Przez całe życie na coś czekała. Dlatego pewnie teraz zaczęła myśleć o swoim ciele, jako o materii zbudowanej z sześciuset miliardów komórek, z których każda zawiera kilka tysięcy białek, w tym wiele enzymów, a jeśli w grę wchodzi komórki to znamienne jest ich zamieranie, a jak zamieranie to i śmierć. Więc głupie się jej wydało to jej poszukiwanie miejsca na starość. Bo to czy nie wszystko jedno gdzie jej te komórki będą zamierać, czy w Chicago czy w Nowym Targu? Może tylko jest ważne to co powiedział jej kiedyś amerykański pastor: *może dopisze nam szczęście, że umrzemy we śnie.*

Niewiele też miało sensu, tak jej się teraz wydawało, dzielenie życia na *tam i wtedy* i na *tu i teraz*. A jednak to i wtedy było takie wzruszające! Na przykład kiedy będąc dziećmi, o niepoohamowanej woli poznawania świata, odkryli na lewej stronie dzwonnicy starego kościoła podłużną drewnianą zamykaną wieczkiem skrzynkę przytwierdzoną do ściany. Nad nią zaś oprawione w ramki i szkło pismo. To słowo pisane jako za wysoko powieszone i za drobno napisane nie budziło zainteresowania. Ale skrzynka to już zupełnie coś innego, nie dało się wytrzymać z ciekawości, więc najwyższy wzrostem sięgnął i wyciągnął drewniane kółeczko z cyfrą. Jakby się dziś powiedziało numerek. Cyfrę odczytaliśmy, ale na co to? i do czego? – gubiliśmy się w dociekaniach. Aż nagle wszystko stało się jasne, dzięki wścibskiemu Józiowi, późniejszemu aktorowi, z którego miasto było dumne za jego świetną rolę w procesie norymberskim. On to odkrył i wszem ogłosił, że to znaczy ile się będzie żyło lat. Więc wszyscy inni musieli zaraz to wiedzieć co wiedział już ten co numerek pierwszy wyciągnął. Anna, wtedy Hania, wyciągnęła numer 68, a mając wtedy siedem lat odkryła wieczność przed sobą.

Wiele też wrażeń w przeżywaniu minionego dostarczyła jej też Fara, teraz zdaniem jej za bardzo wyzłocona. Przez co zatraciła w części dawną duszę, wysłużonej w służbie Bogu i ludziom świątyni, brakowało jej tych wydeptanych przez pokolenia stopni, wysiedzianych ław, i tych od szeptów wytartych kratek konfesjonałów. Ale przecież zostały te same mury, ołtarze,

a pod dzwonicą sercu bliskie figury, teraz święte jednością, miejscem, oraz wielopokoleniowym istnieniem. Nie potrafiłaby się też obyć bez tego piękna, jakie przetrwało w obyczajach i góralskim postrzeganiu świata. O tym przekonała się podsłuchując przypadkową rozmowę, raczej monolog wygłoszony do Maryśki, na zapleczu małego pensjonatu: *słyszałaś, że się powiesił na cmentorzu w Zembie łorganista, a na Bańskiej jechoł chłop z dziećcami autem, ale się w komórke zagapił widać esemesowoł, a drogi nie patrzył, wjechał do rowu i się zabił i jeno dziecko tyz. To wies, że mu jego baba na trumne nie kwiotki ba tom komórke położyła coby dalej na niom patrzył.* O cudowny świecie prostego rozmowania, góralskiej mowy i osobliwej więzi! Nigdy tak naprawdę, dawny mój świecie, nie mogłam się rozstać z tobą. Więc *tam, czy tu* – oto jest pytanie?

W sam raz spostrzegła na wyświetlanej mapie rejsu, że ich boeing leci już nad Kanadą. Więc pomyślała: *witaj Ameryko* i poczuła, że jest u siebie. Jeszcze tylko brakowało jej świeżej bryzy znad jeziora Michigan oraz widoku Golden Miles, Wright Building i zagubionego wśród drapaczy jej kolorowego osiedla. Ale przecież tyle innych miejsc również mnie tutaj zachwyca! Choćby piękno zachodzącego słońca na pustyni Sonora, gdzie w ciszy i pustce, obejmującej żwirowo-piaskową przestrzeń, pokrytą suchą i poszarzałą roślinnością, kępami dzikich akacji, wybująłych kaktusów i wysokich traw, zachodzące słońce odgrywa swój rytuał iluminacyjny, nim zatone w piasku pustyni, widzom pozostawiając jeszcze na długo purpurowo-różowe przebląski na delikatnych pierzastych chmurach, a horyzont barwiąc na kolor lila-róż, który stale pogłębiając swą intensywność stanie się fioletem w końcu. Oto jeden z cudów – pomyślała. Ale jeżeli słońce nazwiemy gwiazdą i określimy odkryte właściwości słońca i uzmysłowimy sobie nasze miejsce na wirującej wokół własnej osi planecie Ziemia, z jakąś tam prędkością, to wtedy dostrzeżemy pozornie doznawanego piękna zachodzącego słońca. I to doznanie stając się złudzeniem, uczyni nas samych błędzącymi wśród pozorów.

Więc co – powrócisz tam, gdzie nadwiślański powita cię brzeg? Czy pozostaniesz tu, gdzie w świetle ciągnących się od nieba ku ziemi promieni zachodzącego słońca stale budzi się nadzieja?

Maria Giłka

SKĄD WZIAŁ SIĘ LENIN W NASZEJ MIEŚCINIE?

Pojawił się jak pojawia się np. powódź, huragan czy wrzód – nieoczekiwanie, niechciany. Najpierw zaistniał w naszej świadomości, a potem przez długie lata w codzienności miasteczka. A stało się to tak zwyczajnie... Byliśmy starostwem, więc mieliśmy urzędy, policję, sąd i więzienie. Dlatego podejrzany o szpiegostwo późniejszy współtwórca Kraju Rad Włodzimierz Lenin, trafił do *nasego bareštu*. Fakt ten wiele lat później stał się pretekstem do wyburzenia wszystkiego co nowotarski areszt czyniło obiektem więziennym – z pozostawieniem tylko jednej celi, w której właśnie więziony był Lenin. *Wskrós tego miescany i górole co się prawu sprzeniewierzili nie siedzieli już w naszym bareście ba w Sącu.*

Przebudowie więzienia towarzyszyły ambitne plany władz politycznych. Cella jako miejsce kultu wodza rewolucji, budynek jako dom pionierów, a że zmiany miały być gruntowne zmieniono nawet nazwę ulicy, z ulicy Szerokiej na ulicę Pionierów. I tak to nasze miasto zaistniało jako jedno z ważnych miejsc czczenia pamięci wodza rewolucji i rozwijania przyjaźni polsko–radzieckiej pod hasłem *Lenin na Podhalu*. Dwa muzea i wielki pomnik w Poroninie, cela więzienna, salka muzealna – to niemało jak na obiekt kultu. Sęk w tym, że my nowotarżanie nie przekonani, stronimy od narzuconych nam nowości, wzorców, dlatego niewielu było zdeklarowanych pionierów, i z czasem pomysł spolszczono zmieniając nazwę na Dom Harcerza, a ulicę na ulicę Harcerską.

W opisywanych czasach indoktrynacji i poplątanych ideologii, wszystkie działania podporządkowane były jednej idei wychowania obywatela o tożsamości marksistowsko – leninowskiej, z sympatią aprobującego politykę bohaterskiego Kraju Rad. Dlatego powszechnie głoszoną sentencją był *dzięki Związkowi Radzieckiemu* mieliśmy wolność, osiągnięcia gospodarcze, równość klasową, powszechny dostęp do nauki itp. Sentencję tę można odnieść również do nowotarskiego Domu Pioniera, że powstał także *dzięki Związkowi Radzieckiemu*. Dlatego z góry wiadomo było, że sprawy polityczno-ideowe stawiane będą bardzo wysoko. Tak też było nawet później,

kiedy Dom Harcerza przemianowany został na Młodzieżowy Dom Kultury – mieliśmy czcić Lenina właściwie cały rok. Najlepiej nam to wychodziło na piśmie. W planach, liczbach, sprawozdaniach, ściśle wymierzone, zapisane. A prawdziwe życie toczyło się między tymi papierami a rzeczywistością.

W tej przypisanej nam działalności, Lenina szczególnie czciliśmy w kwietniu imprezą pod nazwą Dni Leninowskie, oraz w październiku na rocznicę rewolucji. To październikowe czczenie obchodziliśmy organizując konkursy tańca, piosenek rosyjskich, czasami wiedzy o ZSRR. Takie konkursy miały raczej bytu jedynie narzucone szkołom przez kuratorium lub wydział oświaty. I tak było w zasadzie. Ale to oni przecież odpowiedzialni byli za kształtowanie odpowiedniej ideologii. Nie było łatwo, ale z czasem nauczyliśmy się żyć z tym wrzodem. Wystarczyło tylko, że narzucone czczenie stawialiśmy na drugim miejscu, a na pierwszym korzyści dla placówki oraz dobrą zabawę i już robiło się weselej. I tak jako organizatorzy rajdu kwietniowego musieliśmy zaopatrzyć się w sprzęt turystyczny, więc władza musiała nas dofinansować, a sprzęt służył również innym potrzebom. Tańce wymagały strojów, konkursy nagłośnienia, a my pieniędzy na ich zakup. Nie da się ukryć, że przynależność do powołanego woła władz Klubu Wiedzy o Leninie, musiało być wynagradzane, np. urządzaniem dyskotek, wycieczek, oraz innych rozrywek. Zaś uczestniczenie w Rajdzie Leninowskim nagradzaliśmy wolnymi dniami od zajęć szkolnych, oraz wycieczkami, według wyboru dokonywanego przez młodzież. Udział w rajdzie wymagał wiedzy o Leninie i o Kraju Rad, ale tu zawieraliśmy ciche przymierze, z uczestnikami przekazując im tylko minimum koniecznej wiedzy. To akurat było łatwe, bo pani Barbara która z ramienia muzeum w Białym Dunajcu upowszechniała im tę wiedzę, równocześnie uczestniczyła przy opracowaniu pytań konkursowych. Młodzież jednak nie wiedziała o tym, że my wiemy co oni powinni wiedzieć.

No więc wygrywaliśmy bezstresowo i w dobrym stylu dopóki po raz trzeci nie ograliśmy Pałacu Młodzieżowego z Krowoderskiej. Ci, pilni i ambitni Krakowianie, nie darowali nam i już na następny rok z woli kuratorium w Krakowie to oni stali się organizatorami rajdu. A co nam pozostało? Zaniechać jakiegokolwiek rywalizacji i w odwecie przejść na pozycję szarego końca tabeli zwycięzców. Przymuszeni byliśmy również do prowadzenia korespondencji z młodzieżą radziecką, odnośnie istniejącej celi Lenina. Ale ten problem rozwiązaliśmy dość sprytnie prokurując coś na kształt folderu:

zdjęcie celi, fotografia drzwi więziennych, krótka historyczna wzmianka. Okładka i całość w graficznej oprawie wykonanej przez naszą fotograficzną i graficzną pracownię rozwiązała sprawę. Takie coś pakowaliśmy w koperty przepisując jedynie „bukwy” dotyczące adresu już nie sylabizując i nie wnikając w treść poszczególnych listów.

A jak musieliśmy służyć sprawie tak zwyczajnie na co dzień? Istniały trzy rodzaje obsługi odwiedzających celę Lenina. Pierwszy, najczęściej stosowany, to udostępnianie celi Lenina i salki muzealnej przez woźną lub woźnego. Klucz od celi wisiał w sekretariacie pod kontrolą, a klucz od salki muzealnej tkwił w pęku innych kluczy. Woźni nie mieli obowiązku niczego mówić, ani wyjaśniać. Ich jedynym obowiązkiem było otworenie drzwi i dopilnowanie porządku. Zresztą gdyby zwiedzający chcieliby o coś związanego z Leninem zapytać to – to źródło było całkowicie suche. Bo nikt z obsługi Leninem się nie przejmował i nic o nim nie wiedział. Drugi sposób – już bardziej skomplikowany to takie protekcyjne potraktowanie „kogoś” z różnych powodów np. znajomości, dostojęstwa, bądź atrakcyjności osoby bądź osób, co miało miejsce w przypadku przyjazdu kosmonautów czy znanych sportowców bądź artystów. Wtedy oprowadzającym stawał się instruktor MDK, najczęściej imprez masowych bądź Klubu Wiedzy o Leninie, albo dyrektor placówki. Mnie taka fucha trafiła się wiele razy, ale zadanie to nie było trudne. Wystarczyło tylko powiedzieć: *proszę państwa – celi, którą widzicie to celi w której więziony był Włodzimierz Iljicz Lenin. Wszystko tu jest autentyczne, ściany, podłoga, piec, okno, drzwi, w których proszę się dobrze przyjrzeć szczególnie charakterystyczne-mu zamkowi z kluczem już dziś unikatowym. Proszę też przyjrzeć się piecowi. Jak widzicie państwo w piecu tym rozpalano ogień z korytarza. Reszta znajdującego się w celi sprzętu na pewno jest więzienna, ale czy służyła Leninowi – może to budzić pewne wątpliwości.*

Tym sposobem powaga chwili zostawała łatwo osiągnięta i już można było dalej nawijać, byle na dystans od historyczno-politycznych wątków. Należało więc uwagę skierować na fotografię Nowego Targu z lat pobytu Lenina na Podhalu. Potem na zdjęcie odcinka szosy z Krakowa do Zakopanego i furmanek jakimi wozili górale letników. Wreszcie odczytać z wiszącej u samej góry planszy datę aresztowania Lenina i jego uwolnienia, oraz wskazać na fotografii ludzi, którzy się do tego uwolnienia przyczynili. Teraz można było trochę pomaniupulować, bo wystarczyło tylko zwrócić uwagę na zdjęcia,

na których utrwalony był wygląd dawnego więzienia, oraz pokazać mury więzienne, które zachowały się od strony zachodniej posesji, i już Lenin przestawał być gierojem a stawał się jednym z wielu więzionych.

Można było również upiększyć opowiadanie przytoczeniem mało znanego faktu jak to pan Kasprowicz zwrócił się do Lenina listownie z prośbą o okazanie mu pomocy przy wyjeździe z Rosji do Polski jego żony. Wtedy to robiło się bardziej po ludzku, bardziej sprawiedliwie. Ale wtedy powstawały wątpliwości, a może to Lenin był ten dobry? A tylko Stalin tak wszystko poknocił? Przecież w chwili aresztowania Lenin miał przy sobie jakiś drobny bilon, kawałek sznurka i jakiś tam kozik. Więc co – żałować go? Czy raczej żałować, że tak krótko siedział?

Trzeci rodzaj obsługi zwiedzających to pełne kompetencji i fachowości podejście specjalnych wysłanników delegowanych z muzeum w Poroninie bądź w Białym Dunajcu. Mielśmy z woli władz politycznych taką możliwość korzystania z ich pomocy. Ale oni się do tego nie bardzo garnęli, a myśmy o to specjalnie nie zabiegali, chyba że zapowiedziany był przez Radę Państwa bądź Komitet Centralny KC PZPR np. przyjazd delegacji osób bardzo ważnych – wtedy powiadaliśmy muzeum o terminie przyjazdu takiej ekipy, pozbywając się w ten sposób bólu głowy. Oni zaś zawsze stawali na wysokości zadania, biegle władając językiem rosyjskim jak i perfekcyjną wiedzą historyczną.

Tu wypada zadać proste pytanie, czy wycieczki i delegacje władz radzieckich, kombatantów, robotników, czy młodzieży zwiedzających cele – coś specjalnie charakteryzowało? Odpowiedź brzmi – tak. Dystans, powściągliwość, żeby nie powiedzieć skrajna oficjalność. Wymięte ubrania, pogniecione kiecki, ale dostojne miny i dużo, dużo medali i odznaczeń. Czy polskiej stronie zależało na tym aby przedstawiciele władz radzieckich oraz reprezentatywne grupy społeczności radzieckiej wyjeżdżały zadowolone? Tak, nie szczędzili starań ani napominań. Pamiętam, że pewien polski generał zostawił autokar z oficerami na rynku, a najpierw sam przyszedł upewnić się czy wszystko jest w porządku nim przywiózł ważnych gości. Czy z jego strony była to nadmierna służalczość, czy przesadne poczucie odpowiedzialności – nie wiem.

Minęło wiele lat, przeżyty czas został już tylko w pamięci. Dlatego spisuję wspomnienia, co prawda bez kronikarskiej dokładności, ale nie pozbawione historycznych realiów. Teraz z tej przeszłości pragnę przytoczyć wydarzenia,

które sama nie wiem jak miałabym zatytułować. Gromem z jasnego nieba? Trzęsieniem ziemi? Burzą w szklance wody? Zresztą te trzy określenia pasują jak ulał do faktów, które tu chcę opisać, a które wymownie charakteryzują panujące tu warunki. Był rok 1967. Jak grom z jasnego nieba spadła na nas wizyta dostojników z Moskwy, chętnych zwiedzić celę Lenina. Kwaśne miny jakie zagościły na ich twarzach po zwiedzeniu budynku nie wróżyły niczego dobrego, z pośpiechem wsiadali do czarnych wołów nie tracąc czasu choćby na zdawkowe pożegnanie. My będąc pionkami mogliśmy olewać nastroje zwiedzających, nawet tych wysoko postawionych, jeżeli cela i salka muzealna były w czystości i udostępnione zwieszającym. Więc grom nie mógł być w nas wymierzony. Ale i tak przemieszczając się po szczeblach władzy wreszcie i w nas trafił. Już na trzeci dzień, choć był koniec stycznia, środek zimy, burzono nam piece kaflowe, przebijano stropy od piwnic po dach murując komin do centralnego ogrzewania. Ten kapitalny remont przy wiecznym braku funduszy, został na władzy ludowej wymuszony zagrożeniem, że skoro Polaków nie stać na utrzymanie budynku w należytym stanie, to oni – Związek Radziecki – zadba o historyczną spuściznę. Oj, działa się wtedy działa. Wychodki burzyli obiecując toalety, w salce muzealnej kładziono parkiet, chcieli też w gorliwości zmienić podłogę w celi, ale nadzorujący z ramienia muzeum w Poroninie, pouczył ich, że właśnie ta podłoga jest historycznie najważniejsza, bo autentyczna, po niej to chodził właśnie Lenin.

Trzęsienie ziemi odczuliśmy, kiedy po nagraniu fabularnego, pełnometrażowego filmu o Leninie, znikło wraz z ekipą filmową posłanie byłego areштanta Lenina. Byliśmy zszokowani po odkryciu nagiego łóżka w celi. Zginął siennik, koc i zagłówek. A wszystkie te rzeczy były niepowtarzalne i niczym nie zastąpione. Interwencję o zniknięciu betów zaczęliśmy natychmiast, zachowując ścisłą gradację kompetencji. Powiadomiony o sprawie inspektor wydziału oświaty, wykipił się frazesem: *możliście lepiej pilnować*. Sekretarz komitetu miejskiego radził zgłosić zniknięcie na milicję, dyżurny oficer MO zapytał czy była to kradzież, a tego potwierdzić nie mogłam, więc kazał sobie głowy nie zwracać. Odmowa oficera MO zamykała listę możliwości interwencji władzy w mieście. Teraz należało sięgnąć o szczebel wyżej, bo choć to nijak nie była sprawa Młodzieżowego Domu Kultury, to obawialiśmy się konsekwencji. Z biedą uzyskałam połączenie z Wojewódzkim

Sekretarzem, który po zreferowaniu mu sprawy, kilka razy powtórzył: *no tak, no tak... a gdyby towarzyszka telefonicznie skontaktowała się z wytwórnią?* Powiedziałam: *Ja to już chciałam zrobić, ale aktualnie w Łodzi zmieniają numery na siedmiocyfrowe i nigdzie nie mogą się dodzwonić*, dodając również, że nie jest to w żadnym wypadku moja sprawa i że palcem bym nie ruszyła, gdyby nie to, że osobiście odebrałam telefon z Rady Państwa, zapowiadający na pojutrze przyjazd dowództwa Armii Radzieckiej. To podziało natychmiast, wystarczyło wspomnieć Warszawę, Moskwę, a już tryby partyjnego nacisku zaskakiwały. A o radykalności środków niech świadczy fakt, że już za sześć godzin mieliśmy w celi postanie więzienne Lenina dostarczone przez milicję, która od nas zażądała jedynie potwierdzenia tożsamości tych betów.

Burza w szklance wody wybuchła pewnego wiosennego popołudnia, kiedy przed nasz budynek podjechały dwie wołgi, co było jednoznaczne z tym, że przyjechali jacyś dygnitarze jak się później okazało z konsulem radzieckim na czele. Powód wizyty był zwyczajny, zostali zaproszeni, ale nie przez nas przecież. Więc czego chcieli od nas? Rada nie rada zaprosiłam ich na górę radząc aby usiedli i poczekali, że na pewno jacyś organizatorzy zaraz nadejdą. Szkopuł jednak tkwił w tym, że przedstawiciele takiego ważnego narodu nie mogli czekać na nikogo, to na nich się czekało. Więc zabrali się „nazad” do samochodu, by po piętnastu minutach znowu podjechać, a u nas nadal nic się nie zmieniło. To wyraźnie wyprowadziło ich z równowagi, już nie taili złości. Zdesperowana zadzwoniłam do partii i zapytałam czy im coś na temat odbywającej się imprezy było wiadomo? Było wiadome, ale impreza odbywała się na hali Gorce a nie u nas. Co skwapliwie przekazałam przybyłej delegacji. Współczułam organizatorom tego co będą zmuszeni wysłuchać, i nie myliłam się. Grzmienie było głośne i dosadne, kiedy zdyszani pracownicy komitetu wojewódzkiego PZPR w Krakowie na czele z nowotarskim sekretarzem miejskim Bolesławem Krupą stanęli przed zaproszonymi gośćmi. Jednak nie bardzo przejęli się gniewnymi wynurzeniami radzieckiej delegacji, bardziej się bojąc jakiegoś *starego*, który jak sami mówili da im takiego łupnia, że głowy polecą.

Czy mieliśmy pretensję o to, że robiliśmy tyle rzeczy, których nie robiły inne pokrewne nam placówki? Chyba nie, bo przymus i brak wyboru robi swoje. A przecież nigdy nie pozwalano nam zapomnieć o tym, że właśnie

cela i przypisana do niej działalność najbardziej się liczyła. Dlatego często byliśmy przywoływani do porządku, jak na przykład kiedy wymalowaliśmy na szybach bocznych drzwi wejściowych barwne rysunekzki reklamujące różny asortyment słodkości na użytek młodzieży, która urządziła dyskoteki, i za tymi drzwiami prowadziła sprzedaż. Sprzedaż ta miała okazać się wielkim skandalem, *coś podobnego obok celi Lenina* – brzmiała reprimenda. Dziś rozumiem, że tego rodzaju inicjatywa bliższa była zapyziałym wartościom kapitalistycznym aniżeli wskazywanym wzorcom, które my mieliśmy naśladować. Więc pleniące się zło musiało być wykarczowane w zarodku, wymyciem szyb do czysta, oddaniem transporterów z krachlami Szpondrowi i cichą wyprzedająką ciastek i batonów.

Nie obeszło się również bez gorliwego napiętnowania sprawy przez inspektora, na naradzie dyrektorów. Skarceni zostaliśmy również publicznie. Ale zresztą w dobrym towarzystwie, bo ze szkołą nr 1, na sesji Rady Narodowej przez ówczesnego Burmistrza, wtedy zwanego przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej. Napiętnowanie brzmiało jakoś tak: *...już w klasach najmłodszych szkoły podstawowej uczono mnie patriotyzmu, a potem nauczycielka historii (i tu padło nazwisko pani) z wielką uwagą kształtowała w nas poczucie odpowiedzialności za spuściznę historyczną, za czczenie miejsc szczególnych związanych z różnymi wydarzeniami, których u nas nie brakuje. Dlatego nie rozumiem szkoły nr 1 odpowiedzialnej za pomnik wdzięczności, ani Młodzieżowego Domu Kultury odpowiedzialnego za celę Lenina...*

I tu przestałam słuchać, bo wszystkie głowy zebranych na największej sali Urzędu Miasta zwrócone były na nas, które zostałyśmy napiętnowane.

Czy było mi wstyd? Nie, bo robiliśmy co musieliśmy. Ale nigdy nie popadaliśmy w przesadę. Czy dzisiaj nie wstydziliby się swoich słów ów piętnujący? Pewnie tak, przecież pomylił patriotyzm i wdzięczność z doktrynerstwem. Nigdy też nie mogliśmy się czuć gospodarzami w naszym budynku. Zawsze trafiał się ktoś bardziej papieski niż sam papież i w imię świętej sprawy zarządzał zmiany. I tak stało się, kiedy nasz dolny korytarz wymalowaliśmy na jasne kolory, gdyż brak oświetlenia z zewnątrz czynił go bardzo ponurym. Ale to zaraz nie spodobało się władzy województwa nowosądeckiego. *Bo nie przypominało więzienia.* Wobec czego pomalowano jeszcze raz na więzienne kolory i cela znów uzyskała odpowiednią oprawę. Tak to osobiste ambicje władz nakręcały się w spiralę pomysłów. Jest dobrze – ale może być lepiej.

Tak właśnie powstał plac Lenina. Ale ten pomysł powstał w mózgach władz i działaczy nowotarskich. Ci ambitniejsi mieli wizję, aby zlikwidować murowane ogrodzenie wokół budynku, oraz ulicę przejazdową, i to wszystko połączyć w zamkniętą całość i już powstałby plac. A gdyby jeszcze wybudować choć dwa stopnie, to już składające wieńce delegacje mogłyby przy dźwiękach werbli wstępować do celi po schodach. Na pochwałę tych ambitnych planów budowy Placu Lenina zasługuje jednak fakt, że nareszcie władze dostrzegły również związek tego budynku i ziemi wokół niego z czasem terroru hitlerowskiego. A przecież o to zabiegaliśmy latami, przedstawiając fakty odwiedzania tego byłego aresztu przez ludzi, którzy byli tu więzieni, bądź więzieni byli członkowie ich rodzin, oraz o zwyczaju zapalania zniczy pod murem więziennym przez mieszkańców, co przecież miało głęboką patriotyczną wymowę. Zaprojektowanie placu powierzono jakieś pani inżynier z krakowskiego biura projektów. Do rzeczy wzięła się z zapalem i artystyczną inwencją. Zaprojektowała wymurowanie dwóch ścian-pomników, niezrozumiałych w swojej wymowie. Może i miały być jakimś przesłaniem? Nie wiem, ale inni też nie wiedzieli.

Ważne tylko było, że miały powstać stopnie, które po swojemu upiększały i służyły sprawie, aby Lenin zawsze był żywy. Te żywotne sprawy Lenina porzebały oczywiście podstawowe warunki naszej egzystencji, znowu walono, burzono, kopano, zbrojono fundamenty pod dwa przyszłe stopnie odcinając nam dostęp do budynku wykopany rowem. W skład budującej plac załogi wchodził również więźniowie, a że więźniowie nie prowadzą zbyt urozmaiconego trybu życia, szukali powodów do radości gdzie się dało. I znajdowali je kiedy pracownicy MDK chcieli wyjść albo wejść do budynku. Wtedy przerzucali nam z wielkim ociąganiem jakieś stare wrota przez wykop i przerywali pracę bacznie obserwując nasze przeprawy przez chyboliwy pomost. Najlepszą jednak uciechą sprawiła im jedna z turystek radzieckich. Jakaś widocznie sportsmenka, która przymuszona nagłą potrzebą, widząc po drugiej stronie wykopu wychodek, zainstalowany dla potrzeb robotników, nie certyfikała się tylko wzięła rozpęd i skoczyła. I gdyby miała dłuższe nogi, to kto wie? Nie ucierpiała jednak ani fizycznie ani nawet jej godność osobista czy nawet duma radziecka, bo pozbierała się i pogodnie wykrzykiwała: *niczewo, niczewo*.

W tym naszym skomplikowanym świecie, mieliśmy też trochę uciech i powodu do śmiechu. Choćby z takiej historii. Musieliśmy zatrudnić palacza, stróża, tym razem na nasze zapotrzebowanie. Zgłosił się młody przystojny

góral z Białego Dunajca. Wydawał się być właściwy na obsadzenie wolnego etatu. Więc przy omawianiu zakresu obowiązków, że w czasie służby w niedzielę i święta ma udostępnić celę, zapytał przestraszony, *jako zaś cele, nie chcecie przecie pedzieć dyrektorco że cele Lenina?* Właśnie, że tak potwierdziłam. *Niechże to wszystko diasi porwom, to on zaś tu? Nie nojmem się do takiej roboty, oj nie, wykrzykiwał. Ale dlaczego pytam, bez to pani ze jo miół dobrom robote w muzeum Lenina w Poroninie, ale tfu bez tego to wej ruskiego rewolucjonistę jo się musioł zwolnić bo moja baba ino mi ciągiem dokucata, chłop jak byk a komu to służy. Kogo to z karabinem pilnuje. Wies ty chłopie kiele to wstyd lo honoru? Co mogę więcej dodać, nic sami widzicie jaką cenę miał wtedy honor. Ale przecież górale zawsze byli honorowi i niech tak na zawsze zostanie.*

Nie brakowało też powodów do totalnego zaskakiwania nas. Tak było gdy zadzwonił telefon, a pani z centrali powiedziała: *Londyn do pani. To jakaś pomyłka* – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Kiedy ponownie zadzwonił telefon, usiłowalam przekonać babę, że przecież my w Londynie nikogo nie znamy. Bo naprawdę nikogo tam nie znaleźliśmy, a świat wtedy dzielił się na zgniły Zachód i dobre socjalistyczne państwa. I telefon z tamtej strony był ewenementem na skalę europejską, czy można się więc dziwić gdy po raz trzeci usłyszałam czy to numer 2785 odpowiedziałam *tak* i po raz trzeci usłyszałam *Londyn do pani, proszę czekać*. I wtedy wyrwało mi się nieparlamentarne słowo: *o k...*, *Londyn do nas* – wykrzyknęłam do innych znajdujących się w pomieszczeniu i w stresie słuchałam co dalej. A dalej była płynna mowa, tyle że po angielsku, potem na próbę po niemiecku, i kiedy grzecznie mówiłam *sorry, I don't understand*, facet po drugiej stronie krzyczał jeszcze głośniejszym głosem jakbym była głucha, a nie zwyczajnie niedouczona. Wreszcie posługując się zachowanym jeszcze ze szkoły skromnym zasobem słówek angielskich, poprosiłam żeby lepiej do nas napisał co chce, bo przecież razem się nie dogadamy. Zdeterminowana odłożyłam słuchawkę, by usłyszeć komentarz koleżanki: *a jednak języków trzeba się uczyć*. Wściekła na głupią uwagę odparowałam: *on się uczył i co z tego, dogadał się?* Potem okazało się, że telefonował z BBC bo chcieli filmować celę Lenina. Ale to przecież trzeba było telefonować do partii, a nie do nas.

I tak leciały dni miesiące, lata, i gdybym dzisiaj musiała odpowiedzieć na pytanie, co czuli ludzie – w większości nauczyciele, wszyscy zatrudniani przez wydział oświaty, obarczeni dodatkowymi obowiązkami i odpowiedzial-

nością za kult Lenina, to powiedziałabym, że byliśmy wiecznie skołowani nieprzewidywalnymi wydarzeniami, zfrustowani stałym nadzorem i stałą tresurą, która apogeum osiągnęła po wybudowaniu placu Lenina. Dotąd zwykłe okno w celi Lenina nie rzucało się tak w oczy, za to kiedy zburzono murek ogrodzeniowy, wmontowano nową tablicę pamiątkową, wydano pieniądze na marmury, mosiężne kratki ściekowe, nowe oświetlenie – zaczęło się. Już na trzeci ranek po uroczystym otwarciu Placu Lenina, wczesnym rankiem zatelefonował do mnie stróż Wielkiewicz z informacją, że *schlaskali mu gębę*, pytam o czym pan mówi panie Jaśku? *Ne dyć schlaskali Leninowi gębę* słyszę, no to umyćcie, odpowiedź brzmiała *nie do się bo olejną* i tak już było stale, czasem jednak jeszcze dodatkowo potłukli lampę albo szkło od reflektora, zmieniały się tylko barwy farby używanej do chlastania. Zmianie też ulegały epitety wygłaszane przez przechodzących ludzi pod adresem wodza rewolucji, jego narodu oraz partii. Władza dawała obstawę bardzo oddaną, cichą w cywilnym wydaniu, ale nigdy nie słyszałam aby na tych „chuligańskich” wybrykach kogoś złapano. My musieliśmy za to dbać o stały zapas rozpuszczalnika, wymieniać potłuczone lampy i wstawiać szkło do reflektora. Woźni zaś z godnym lepszym sprawą posłuszeństwem szorować schlastaną gębę Lenina i zamalowywać bądź myć *pokidaną* ścianę.

Jakie stąd wynikają wnioski: zwyczajne, potwierdzające istotę przemijającej postaci tego świata. Umilkły przecież pieśni proletariackich mas, bohaterowie epoki zeszedli z cokołów i zaszczytnych stanowisk. Masówki, capstrzyki, wiecie odeszły w niebyt, nimb niektórych sztandarów rozpląnął się w nowej rzeczywistości, a Lenin, który miał być wiecznie żywy zmalował do wymiarów, na które zasługiwał. Wobec tego pewnie dobrze, że powzięłam zamiar opisanie tamtych czasów. W słuszności co do tego utwierdzili mnie również moi koledzy i koleżanki, którzy pomysł ten przyjęli z aprobatą przypominając mi jeszcze inne szczegóły.

— A pamiętasz – mówiła Ela – jak była wdzięczna pani Basia z muzeum Lenina w Białym Dunajcu, kiedy telefonicznie uprzedziłam ją, żeby się spodziewała dostojnych gości z ZSRR, a ona właśnie w to późnojesienne popołudnie, zabierała się do kiszenia kapusty w izbie Lenina?

Przypomnienie tego szczegółu z przeszłości wywołało ogólny śmiech. Śmialiśmy się też wspominając jak to my, pracownicy MDK, postanowiliśmy przywłaszczyć sobie część plansz wystawowych muzeum Lenina w Poroninie

po ich wystawie, którą u nas urządzili. Rozgrzeszając się zresztą praktycznym rozumowaniem Janosika *bogatym zabierać to nie grzech*. To wspomnienie pociągnęło następne, jak to naciągnęliśmy kombinat na podarowanie nam brył wystawowych, kokietując przedstawiciela Rady Zakładowej potrzebami Lenina. Zresztą te potrzeby miał Lenin różne, w zależności od naszych potrzeb. To musieliśmy mieć opał natychmiast bo przyjeżdżała delegacja, a to potrzebny mu był dodatkowy przydział na trudno dostępny sprzęt czy materiały. Zresztą z Leninem na ustach szło wiele rzeczy załatwić, z czego korzystaliśmy, no bo dlaczego mieliśmy odczuwać tylko ciężar jego obecności? A nie było lekko... Wiele lat *służyły sprawie* dwa popiersia Lenina, jedno zrobione z masy papierowej, drugie odlane z gipsu. Glinianemu odtłukł się kawałek nosa. A ten drugi pożółkł od starości i miejscami się powgniał. Przedstawione do kasacji popiersia uzyskały od komisji zgodę na spisanie ich z inwentarza. Rzeczy odpisane musiały być jednak komisyjnie zniszczone, ale w tym wypadku było to niewykonalne, bo nie znalazł się nikt kto by chciał Lenina rozwalić. No bo jak? Siekierą, piłą? A wtedy przecież wszyscy myśleliśmy tak samo, *nie nada, nielzia*, mając w pamięci różne represje choćby za domalowanie wąsów jakiemuś portretowemu wizerunkowi dygnitarza, przecież służbistów wariatów po stronie UB nie brakowało. Radzono nam zakopać te relikty reliktu, ostatecznie jednak rozprawił się z Leninem CZAS. Który mija niepostrzeżenie, ale stale zmienia postać istniejącego świata.

Krzysztof Kokot

NOWOTARSKIE ULICE

Czas liczy płynące wieki,
Życie legendą obrasta,
Dziś już nikt nie pamięta,
Gdzie był początek miasta.

Lud przybył, tobołki zrzucił,
Na wzgórkę sklecił zagrody,
Bydło pasał na łąkach,
Wydeptał dróżki do wody.

Ziarno włożyli do ziemi,
Nie wiem, czy pewne to fakty,
Do bliskich ścieżki przetarli,
Tak pierwsze powstały trakty.

Szły za ludzkimi sprawami,
Osiedli kreśliły ramy,
Biegły jak losy człowieka,
Czy dziś je wszystkie znamy?...

Ludźmierska, bo do Ludźmierza,
Szaflarska – do Szaflar zmierza,
Krakowska – aż do Krakowa,
Gorczańska w Gorcach się chowa.

Od rzeki w góry się wrzyna,
Cicha drożyna – Kotlina,
Spokojny Kokoszków wita!
Tu mieszka miejska elita.

Cudowny szlak dla piechura,
Robów, Marfiana Góra,
A przy letniej pogodzie
Przyjemny spacer Przywodziem.

Jeszcze, przypomni wielu,
O Oleksówkach, Grełu,
Niejeden zna i opisze,
Nowe, Buflak, Zacisze.

Nasza herbowa niewiasta,
Ulicę ma w centrum miasta,
Dorota i Anna – święte,
Też mają ulice wzięte.

Przy Ogrodowej, ogrody?
Kiedyś, jak dziadek był młody!
Obok kościoła się chowa,
Ślepa, spokojna Brzozowa.

Ciągną się domy na Długiej,
Nie znajdziesz tu takiej drugiej,
Na plac targowy wybiega,
W czwartki lud go oblega.

Są generalskie ulice,
Nazwą czczą Maczka, Galicę,
Sikorski obok jest blisko,
Z widokiem na lotnisko...

Człowiek co lata tu przeżył,
Zna każdy zakątek miasta,
Przywykł do nazw swoich ulic,
Nic tu nie zmienisz i basta.

Gniewny los zrzucał tablice,
Sentyment w sercu się chowa,
Będzie zawsze Sokoła,
Zostanie też Kolejowa!

Dalszych nie sposób wymienić,
Choć każdej się to należy,
Wszystkie masz, jak na dłoni
Patrząc z kościelnej wieży.

Dachy, ulice i ludzie,
Miasto zwyczajne, jak inne,
Lecz bliskie naszemu sercu,
Bo miasto to nasze rodzinne.

maj-lipiec 2006

Krzysztof Kokot

LIPA Z DŁUGIEJ

Jest niewinna...

Mijasz, przechodzisz obok
Nie widzisz męki
Więźnia w dybach
Z asfaltu i bruku
Dawno zapuściła korzenie
W nowotarską historię
Stara, pachnąca lipa
Czeka na topór
Tysiące serc drży
Na wietrze rozpaczy
W koronie słońce migoce
Złudną nadzieją
Spójrz, zachowaj obraz
Spełnij ostatnie życzenie
Skazańca z twojej ulicy

Krzysztof Kokot

REMEDIUM

Zapewne nie zgadniecie
dzisiejsi aptekarze,
aromat starej apteki,
to zapach o jakim marzę.

Nuta szałwi, rumianku,
waleriany i mięty,
bukiet to niepowtarzalny,
klamrą tęsknoty spięty.

Recepta dawno wydana,
dzwonek aptecznej kasy,
słyszać tykanie zegara,
nie wrócą już te czasy!

Krzysztof Kokot

LIPY

Na wzgórzu,
Nad miastem,
Ponad ludzkimi namiętnościami,
Cmentarne lipy,
Pogodzone z trwaniem,
Szelestem pachnącego kwiecia,
Kołyszą tych co minęli.

Krzysztof Kokot

PASTERKA

Wigilijna noc gorczańska, watry biją wysoko.
Od śniegiem przykrytych polan, skry gnają ku obłokom.

Skoczna góralska kolęda, krzyż w lodzie się mieni.
Przed mroźnym wiatrem się tulą, gromady ludzkich
cieni.

Anioły wielce zdziwione, przyszły dzielić się chlebem.
Łamią się lody opłatkiem, pod nocnym górskim niebem.

Moc struchlała pod Turbaczem, radość w sercach gości!
Hosanna góry śpiewają, Bogu na wysokości!

Krzysztof Kokot

PTASZYSKA ZIMOWE

Zostają z nami, na dni mroźne i słotne.
Ptaszyska zimowe, wyrzuty sumienia ulotne.
Zmarznięte i głodne, siedzą na drzewach żałośnie,
Chcą przeżyć śniegi i pierwsze pokłonić się wiośnie.

Daj serca okruszek, sypnij im ziarno miłości,
To nasi sąsiedzi, niech litość w twym sercu zagości.
Uśmiechniesz się wiosną, łowiąc uchem ich trele.
Dumnie pomyślisz – pomogłem, to moi przyjaciele.

Anna Kram

NA PRZYKŁAD ŚMIETNIK, CZYLI WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA

Pamiętam trzepak i zabawy na trzepaku. Na naszym podwórku był *średniak*, czyli taki w sam raz. Można było szaleć do woli, prezentując wyszukane umiejętności składające się na tzw. warzywniak, a więc – jabłko, gruszka, pietruszka itd. Na osiedlu obok – bardzo niski, ale za to z dużym rozstawem między górną i dolną barierką – więc trudny. I jeszcze jeden – bardzo wysoki, przez co nam, małym szkrabom, zupełnie niedostępny.

Zostawałyśmy z Agą same, gdy Dorota i Sławek (moja siostra i Agi brat) wychodzili do przedszkola. Całe podwórko należało wtedy do nas, klatka schodowa zamieniała się w nasze królestwo, a śmietnik w ciepły dom.

Były jeszcze drabinki i piaskownica. Ta druga kojarzy mi się do dziś z brudem i terenem zamkniętym. Nie pamiętam tylko czy to odgórny zakaz, czy też z własnej woli odmawiałam sobie stwarzania piaskowych światów. Drabinki. Drabinki to Baka. Czemu Baka? Bo Baka była. Baka spacerowała dróżkami naszego podwórka, przemierzała wzdłuż i wszerz osiedle i ulicę, nosząc na twarzy ten sam, niepewny i jakby zagubiony cień uśmiechu. To nie była głośna rozpacz, rozdzierające wołanie o pomoc, beznadziejna rezygnacja melancholii, ale... cicha hesychia, ukołysane milczenie zakłócanie czy wzbogacane czasami tylko przez błysk wymykających się poza brzegi ogromnych oczu kropel.

I jeszcze pamiętam gołębia. Wkradł się któregoś dnia do wnętrza bloku, po czym masywne drzwi zamknęły się za nim. Wówczas odezwało się we mnie poczucie misji – uwolnić ptaka! I zapuściłam się nieco wystraszona i nieprzeciętnie przejęta w obcą klatkę schodową, i zaczajona podążałam szlakiem zniewolonego. Z jednej strony zdawałam sobie sprawę z tego, że on wie o mnie, z drugiej – trwałam w magicznej chwili zakonspirowanego pościgu. I tak będąc połączonymi nagle powstałą nicią zależności wspinaliśmy się coraz bardziej w głąb, aż w końcu dotarliśmy na najwyższe piętro, skąd nie było już wyjścia. Zatrzymaliśmy się. I to zawstydzone spostrzeżenie – jak mogło być inaczej, i moment gdy ustępowałam mu miejsca, gdy skrzyżowały się nasze

spojrzenia... Wracaliśmy już osobno – on przodem, ja chwilę zaczekałam, nie chcąc go przestraszyć.

Mieszkaliśmy na parterze. I ja, i Aga. Aga ze swoją rodziną naprzeciwko nas. A między nami Artysta – niedoszły absolwent ASP, starszy pan z wiecz- nie rozwianym włosiem i duszą na ramieniu, unikatowy relikw dekadenckich czasów końca wieku. Nad nami mieszkali bliźniacy, trochę starsi niż Aga i ja – byli posiadaczami stadniny kolorowych kucyków, i chyba dzięki temu tylko utknęli mi głęboko w pamięci, bo ani koloru ich włosów, ani oczu, ani imion ich nie przypominam sobie.

Miałam sześć lat, kiedy Nowy Targ z całym osiedlem, królestwem i domem przeszedł do historii. Przeprowadziłam się na wieś.

Elżbieta Plewa (Marszałek)

SZEWSKA PASJA?

Stała zapatrzona w stare, wykrzywione, deski, kryjące za zamkniętym ogrodzeniem płat ziemi i gruzu, porośnięty zielskiem i kilkoma dzikimi maliniakami. W tym miejscu stał dom, w którym spędziła prawie połowę swego życia. W jego ścianach zaznała rodzinnej miłości i zrozumienia, tu uczyła się życia z wszystkimi jego barwami: radosnych uniesień, żmudnej pracy, niespełnionych marzeń, smaku gorzkich łez i bólu po stracie najbliższych. Kiedyś, przed laty, dom przy ulicy Szerokiej 6 tętnił życiem i gwarem pracujących tu czeladników i uczniów popularnego w naszym mieście zawodu szewca.

Mój ojciec Florian, mistrz cholewkarski, po powrocie starszego brata Jana – mistrza szewskiego, z obozu w Oświęcimiu, (nr obozowy stryja 530) założył z nim spółkę, uruchamiając dwa duże warsztaty. Od ulicy był warsztat szewski, w podwórku cholewkarski. Wykonywali na zamówienie nowe buty różnego asortymentu: zimowe wysokie pod kolano, damskie pantofelki, męskie i damskie półbuty, a także modne wówczas oficerki dla pań i panów. Ojciec sam projektował cholewki dla własnych potrzeb, ale również zaopatrywał w nie inne działające w mieście i okolicy liczne warsztaty szewskie. W tamtych czasach prawie wcale nie było obuwia fabrycznego, toteż buty robione były na obstalunek, czyli na zamówienie. Ładne, solidnie wykonane, służyły nieraz przez długie lata.

Niestety, tamte czasy znam tylko z opowiadań starszego rodzeństwa, dawnych pracowników, czy zaprzyjaźnionych z rodziną ludzi, gdyż jako małe dziecko nie mogłam ich zapamiętać.

Po śmierci ojca cholewkarstwo zostało zlikwidowane, pracował tylko warsztat stryja Janka.

Przed zaciśniętymi oczami pełnymi łez, jak w fotoplastykonie, przesuwiają się obrazki: duża brama, dwa zakratowane okna z kolorowymi zasłonkami, na parapecie kwitnące pelargonie, a za szybą surowa twarz stryja Janka, który siedzi na zydlu wyplatany paskami z miękkiej skóry i pali papierosa. Za jego plecami stoi regał, pełen różnego rozmiaru drewnianych kopyt, przed nim stolik – warsztat. Na tym warsztacie mnóstwo równo ułożonych szewskich

narzędzi, z miseczką *klajstru* (bardzo mocny klej), pudełko z małymi drewnianymi kołkami, drugie pudełko z gwoździkami (tzw. *teksy*). *Ambus*, czyli żelazko do wypalania specjalnym lakiem (z wilbry i wosku), boków nowej podeszwy, wcześniej oczyszczonej *raszplą*, (ostrzy, drobny pilnik na długim trzonku), kawałkiem szkła, lub papierem ściernym, *špilordy* (krótkie igły umocowane w drewnianym grubym trzonku), które służyły do robienia dziurek w podeszwie, przed jej zakołkowaniem, różnej wielkości młotki i dwa albo trzy *gnypy* (bardzo ostre płaskie noże, których krótkie ostrze z jednej strony było zaokrąglone do szpica, reszta noża była owinięta miękką skórą). Niebezpieczne narzędzie, ale wspaniałe do temperowania kredek i ołówków, tak często używanych wtedy w szkole. Niczego nie wolno było na warsztacie przesuwać ani zabierać, a używanie *gnypy* było surowo zabronione i zawsze kończyło się awanturą. Czasem, przyłapaną na „gorącym uczynku” oberwałam *pociągłem* (był to nieodstępny atrybut każdego szewca – cienki skórzany pasek, zeszyty na okrągło, przydeptany, przytrzymywał na kolanie but uzbrojony w kopyto). Potem mama opatrywała palce, a stryjek, w ramach rekompensaty, osobiście temperował wszystkie kredki i ołówki, mrużąc pod wąsem „kto starszych nie słuca z porźniętymi palcami chodzi”. Stryj, robiąc lub naprawiając jasne lub białe obuwie, zawsze nakładał na nie rodzaj rękawa dla ochrony przed zabrudzeniem. Zawsze też wymagał, żeby przynoszone do naprawy obuwie było dokładnie wyczyszczone.

O Boże, znów zapomniałam, muszę wracać, Stryj nie daruje, nie zasiądzie do obiadu bez gazety. Nie raz musiałam wstać od stołu, zostawić zaczęty obiad i biec do pobliskiego sklepiku po prenumerowane przez stryja gazety, jeżeli zapomniałam je odebrać wracając ze szkoły. To był ważny obowiązek siedmioletniej dziewczynki. Nie pomogły tłumaczenia, protesty mamy, czeładnikowi też nie wolno było mnie wyręczać. Stryj krótko kwitował sprawę „znała warunek, wyraziła zgodę, umowa rzecz święta”.

Ale nie zawsze był taki surowy. Pamiętam wspólne niedzielne wyprawy w Gorce, albo do boru za przejazdem kolejowym. Zbieraliśmy jagody i grzyby, stryjek opowiadał ciekawe historie o lesie, górach, życiu zwierząt i ptaków. Nigdy jednak, nawet jak byłam starsza, nie powracał do czasów wojny i pobytu w obozie. Nigdy już tam nie pojechał. To był temat tabu.

Doskonale pamiętam też pierwsze łyżwy, które dostałam na gwiazdkę. Łyżwy przyśrubowane do ślicznych wysokich bucików, sznurowanych od palców do kostki, a wyżej związane na haki. Albo w mroźne niedzielne popołudnia, wspólne wyjazdy za miasto, w dużych saniach ciągnionych przez dwa dorodne konie.

Pryncypialność stryja w rezultacie nie zrobiła mi krzywdy, wręcz przeciwnie. To cały czas procentuje. Tylko żal, że przy ulicy obecnie Harcerskiej, wśród okazałych budynków, w samym centrum miasta, zieje taka dziura jak po wyrwanym zębie.

Maciej Pinkwart

GRZEJĄC SIĘ W SŁONKU
KOŁO ŚWIĘTEJ ANNY

Umierać w jesieni jest najrzęczniejsze.
Kiedy z drzewa życia opadają ostatnie uśmiechy
malowniczo żółknąc z zazdrości
czerwieniąc wstydem nietrafonych uczuć
brązowiejąc jak niewystawione pomniki
gdy wiatr pędzącego czasu
łamie gałęzie niepotrzebnych wspomnień
a nadzieja która jak wiadomo umiera ostatnia
właśnie zaczyna pisać testament
by pozostawić przyszłym pokoleniom
jedynie kiepski żart
własnej nieśmiesznej egzystencji
obciążony podatkiem spadkowym
wyrzutów wygnanego z miasta sumienia
jesienią wydarte oczy Edypa
nie przyniosą Terezjaszowi
ani satysfakcji z udanej przepowiedni
ani ironicznego spojrzenia
w momencie
smutnej konstatacji
że znów nie ma na czym
położyć ostatniego obola
na ostatni rejs
z gondolierem firmy Charon

Maciej Pinkwart

JAK KATARZYNA ZE SMOKIEM SIĘ TARGOWAŁA

Gdy anioły zmęczone schodzeniem z najbliższych nieba tatrzańskich szczytów ustały w swym anielskim trudzie – dobry Pan Bóg dał im odpocząć na pastwisku u zbiegu dwóch rzek, na podgórskich łąkach zamieniając je w białe baranki... Właśnie wtedy pechowo tańczący pod Wawelem dyabłowie tupaniem nieustannym zbudzili smoka krakowskiego, a ten szukając schronienia polecieć chciał do tatrzańskiej smoczej jamy, gdzie spokój był niezwykle, bowiem jeszcze szatański pomiot turystyczny gór swym swarliwym gadaniem nie psuł. Jednak strudzony nieustannym wznoszeniem się nad górami opadł z sił i wylądował tuż za Gorcami...

Byłby się skrzepił jako żywo trzódką pasącą się wdzięcznie, gdyby okrzyki trwożliwych aniołów nie doleciały do dzierzżącej miecz w dłoni świętej Katarzyny, która smoka okropnego jedną ręką zatrzymała i na taki targ z nim poszła: jeśli zdoła wypić w godzinę całą wodę z Dunajca, to owieczki będą jego. Jeśli nie – straci swój długi, złotem pokryty ogon, odda swoje szmaragdami wysadzone skrzydła oraz jeden krzywy, brylantowy pazur i odejdzie na nogach jak niepyszny, po wieczne czasy kryjąc się w jaskiniach. Zobaczywszy mizerną strużkę Dunajca, smok, któremu i tak się pić chciało, machnął łapą na znak dobicia targu i jednym haustem wciągnął całą wodę z rzeczki. Ale właśnie wtedy w Zakopanem żyjący tam straszliwy potwór Owczarek Podhalański podniósł łapę i siknął tak potężnie do Dunajca, że wody wezbrały, smok się smrodliwą wodą zachłystnął, beknął, rzygnął i zakład przegrał. Katarzyna czterema machnięciami miecza pozbawiła go ogona, pazura i skrzydeł, więc okaleczona poczwara jak niepyszna powlokła się do Zakopanego, gdzie do dziś wspólnie z Owczarkiem wodę psują, chcąc zemścić się na mieście świętej Katarzyny. A tu ze smoczego długiego ogona powstała Długa ulica, przy której targi się odbywają, poprzecznie do niej z krzywego pazura wyrosła Krzywa ulica, gdzie do dziś sami brylantowi ludzie mieszkają, zaś skrzydła urosły baranom, które od tamtej pory uważają, że mają tu najwięcej do powiedzenia. A święta Katarzyna zamknęła się w kościele i do dziś rozmyśla, czy nie trzeba było ze smokiem inaczej się targować...

Maciej Pinkwart
Z CHMUR

ogładane z szybowca
nowotarskie marzenia
maszerują równym krokiem
do chicago do wnuka
do dublina na budowę
do mediolanu do rzeźni
wymieniane w kantorach
sny o powiatowej potędze
szeleszczą koronami w dresach
błyskają złotymi słowami
świecą łysiną bezszyjnych karków
pyszniące się na straganach
talenty euroregionalne
budują potęgę skórzanych kurtek
na miarę skody octawii
m-piątki w bloku na sikorskiego
i 32-calowej plazmy z eurosportem
pod słuchane w szeleście fal dunajca
złote słowa wandy i romana
biorą nas na skrzydła
i unoszą do nowotarskiego
nieba poezji

Maciej Pinkwart

SEN NA RYNKU

O północy na Rynku gdy zaśnie już wiatr,
Orkan gwiezdny otula się szalem
i z cokołu spogląda w stronę nocy i Tatr
bo na piwo chce pójść ze Steskalem.

Wtedy Rajski z Żarneckim w Café Deja Vu
wzniosą toast za zdrowie nie nasze
i francuską pocztówką z minionych już dni
się zachwyca z Ryszardem Rabiaszem.

Zaś Małgosia z apteki z oczami jak len
najpierw spojrzy na stronę plebanii
lecz ksiądz proboszcz już dawno pogrążył się w sen
więc przemkniemy się z nią do „Toskanii”.

Cichy marsz Mendelssohna w Ratuszu ktoś gra
i obrączka swym blaskiem zachwyca
bo noc marzeń na Rynku od dawna już trwa
srebrno-złota przy świetle księżycy.

Pod księgarnią Woźniaka pisarze sprzed lat
chcą na wino dziś pójść do „Mieszczkańskiej”
A Tereska każdemu da uśmiech i kwiat
i nadzieję na sny podhalańskie.

Senne kwiaty słuchają ludzkich żalów i skarg
Bo Jan Kanty już chce odpoczynku...
w taką noc śpi spokojnie stary nasz Nowy Targ
tylko sny śnią się sobie na Rynku.

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

może zbyt wolno łapałam czas
który biegł na przelaj przez rzekę
by w końcu wpaść w jej objęcia?

może moja siatka do łapania chwil
była zbyt dziurawa
i przelatowały przez nią niczym spłoszone motyle?

a może to właśnie on płynął tak szybko
że nie zauważyłam
kiedy wskazówki zaczęły odmierzać do tyłu

a może tak miało być?

nie widzieć
nie dostrzegać

by zobaczyć, przypomnieć
i pozostać...

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz
ZAPACH NOSTALGII

kartki kalendarza
wyrwane z zawieszenia
przykryły czas rewersem dni
w zapachu wspomnień
kuszącej nostalgii
cienie obecności unoszą
nieobecnych
uśmiechnięte twarze
z czarno-białej fotografii
zdyszane przemijaniem
w oczach zatrzymały minuty
dryfując wodami Styksu
uwieczniły w odbiciu siebie
pamięć o nich słabnie
wraz z czasem
potrzebnym na przerzucanie
albumowych stron

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz
KATARZYNA

Katarzyna porankiem
słońce w swych ogrodach wita
źródlaną wodę na stół podaje
promienie zraszając

ukradkiem w lustro spogląda
co wije się u jej stóp
obraz swój rozmywa
czasem zacierając...

stopy dniem schłodzone
w dunajeckiej wodzie
w cieniu
spoczynku szukają
by zmierzchnym czasem
zasnąć
nie żegnając dnia

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

miasto –
to już brzmi dumnie i wyniosłe -

imię chowa się w ciemnościach nocy
krocząc władczo po ciemnych ulicach
za rękę z poświatą księżycą
by rankiem położyć się pod ratuszowym progiem
niczym pies wierny swemu panu...

gdzieś przeplatane kościelnymi dzwonami
nowym i starym,
starym i nowym,
odbija echem po zaułkach
i słabnie na rynkowych kamieniczkach...

wryte na parkowej ławce zbutwiałej ze starości
gdzie tylko kasztan pamięta
staruszek
na progu rzeki zatrzymane by zostało...

nowotarskie...

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

MOJE MIASTO

napisać siebie
i umieścić w tym miejscu
gdzie kropką jest zapomnienie
a przecinkiem oddech
i choć niekoniecznie
ale myśli zaznaczyć kreską w poprzek
kategorycznie sprzeciwić się wykrzyknikiem

i wysłać w świat
list polecony z adresem zwrotnym

zatłoczone ulice
ściśnięci ludzie
krzyżące myśli
milczące spojrzenia

niech wiedzą, że tu nie stawia się wielokropka

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

NIE DEPTAĆ STOKROTEK!

Zimny wiatr rozpędzony na górskich szlakach opierał się o moje szyby, jakby chciał usilnie wtargnąć do pokoju gdzie lampa rozświetlała mrok. Niczym złodziej spoglądał zza zasfony delikatnie ruszając firanką. Raz po raz widać było jak pochyła drzewa w powitalnym ukłonie, jednocześnie przydeptując zmrożoną trawę. Wierzbową witeką smagał tych, co wychodzili na jesienny spacer. Gdzieś cicho płakał w tęsknocie za latem, za pięknem, za przemijaniem... Na poźółkłych liściach spisywał nuty świerszczowej sonaty z letnich wieczorów... Deszcz wystukiwał preludia niczym muzyk ćwiczący na fortepianie. Monotonnie i bezustannie, aż do znudzenia. Uporczywie bębnił palcami po parapecie okna czasami zmieniając rytm. Raz wolniej, raz szybciej, by w końcu urwać w pół taktu... Chmura deszczowa zawisła niczym ręka nad klawiaturą instrumentu w oczekiwaniu na znak dyrygenta. Nawet ptaki ucichły przestraszone w obawie, że skinienie batuty będzie finałem... Rzeka zasypiając przykryła się lodową kołdrą. Głowę położyła na zimnym kamieniu i otuliła szczelnie drżąc przed zmarznięciem. Między palcami przelewała nadchodzące zimowe dni... Czas płynął wolno, leniwie odmierzając długie wieczory.

Na półce, tej drugiej od góry, poukładane są na przemian książki i sentymenty... Wypłowiałe, czarno-białe fotografie w poźółkłych i obdartych ramkach przedzielają wiedzę od albumów i innych drzemiących wspomnień. Spod niektórych wystają koraliki, kiedyś noszone teraz przyłożone zapomnieniem, zakurzone czasem... Stara porcelanowa lalka uśmiecha się głupawo w przestrzeń. W kamiennym wazoniku zasuszony bukciecik stokrotek, chyba stokrotek... Grzbiety książek nieco przygarbiły się od wiedzy, jaką posiadały i wyblakły z nadmiaru widoków, które je otaczały. Między nimi schowana mała historyjka, coś w rodzaju komiksowego kiczu. Banalne chwile dzieci-nady zamknięte w kilkunastu kartkach, jakiś wierszyk, kilka miłych słów i wspomnij mnie... Aha, i jeszcze, kogo czyli Anię, Krysię, Jurka i innych z poźółkłych kartek, kartek pamiętnika... Szkolny sztambuch z morałami i receptą na fajne, jakże proste i uczciwe życie. Skreśliła Marysia... A ona? Jakie ma życie? Trójka dzieci, mąż albo już nie mąż, bezrobocie, brak pienię-

dzy, kłamstwo... *Mów zawsze prawdę...* A Jurek? *Moja stokrotko, kwiecie wiosenny...* Żona, druga żona, dzieci... Mnie w tym życiu nie ma. W pamiętniku mydlane chwile rozmywają obraz rzeczywistości, rzeczywistości widzianej oczami dziecka. Niczym w szklanej kuli zamknięty świat bajki, od którego odbijają realia... a że szklana i że kula, nie ma załamania i rozszczepienia jej gładkości. Kiedyś odnaleziony zupełnie przypadkiem, może, dlatego że było to kiedyś... Poradnik życia jakże prosty i mało trafny, bo pisany przez osoby, co jeszcze właściwie tego życia nie znają. Spomiędzy kartek wypada suchy kwiat. Może stokrotka właśnie... Może jedna z tych, które miały być w tym suchym bukicie? Ktoś kiedyś mi ją dał, ktoś pamięta, że ją mam... Ja zapomniałam. Gdyby nie ta półka, gdyby nie pamiętnik, gdyby nie ta jesień... zima... Jesień okryła pokój nostalgią. Rozdrapując zablźnione rany spowodowała długą chorobę do wyleczenia dopiero wiosną, dopiero, kiedy pojawią się stokrotki. Zamknięta ostatnia karta pamiętnika. Brak miejsca na wpisy, na sentymenty. Brak czasu na wspomnienia. Wzniesione kurzem w pokoju przez jakiś czas drażnią, nim osiadą... Długie jesienne wieczory, rytmiczna muzyka natury, dyrygentem jest życie...

Zaświeciła słońcem z samego rana. Rozchyliła powieki pierwszym promykiem, którym na szybko namalowała wiosenny uśmiech. Zasześciła fałdem sukni na balkonie potykając się o leżak będący jeszcze w zimowym transie. Dłonią musnęła źdźbła trawy w ogródku, które nagle jak po dotknięciu czarodziejskiej różdżki wyprostowało się w kierunku słońca. Wiatr zatrzymała w szczytach gór. Zaczął się o nie odbijać jak piłka tenisowa nie mogąc znaleźć nigdzie wyjścia. Być może osłabł po hulaszczych zabawach i szukając bezpiecznego schronienia tuła się teraz po szlakach, chowa między turniami, układa do snu w rozchylonych dłoniach górskich szczytów... Rozłożyła zielony dywan stokrotki na nim układając...Przed łąką znak: *NIE DEPTAĆ STOKROTEK*.

Wiosna, wiatr, wspomnienia... Bo tylko wiosną kwitną stokrotki, a tylko jesienią można o nich wspominać...

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

MIEŚCISKO

ze słońcem w stronę Tatr
oddech południa uderzył w twarz
wargi spierzchnięte oblizane czasem
kropla wody w rzekę zamieniona
po stopniach schodzi w dół

na plecach, cieniem, Gorce
rozwichrzona czupryna drzew
polana z przedziałkiem uczesana
zamilkły snopy trawą związane
ptasia orkiestra w tle

tak przysiadło skulone
przycupnęło
ludzi przytuliło...
mieścisko

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

TUTAJ KIEDYŚ SIĘ ZRODZIŁAM

tutaj kiedyś się zrodziłam
halny duszę kocem przykryłam
włosy palcem poprawiał
teraz milczy...

tutaj kiedyś dorastałam
w polach z wiatrem wir tańczyłam
świerszczom nuty pokazałam,
wyjechałam...

tutaj pierwsze zaśpiewałam
ja solistka echo drugie
w górach zwrotkę zatrzymałam
nie żałuję...

wiatr refrenem ją powtarza
echo nagle zimnem więcej
świerszcze nuty pogubiły
ja istnieję...

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz
TY, MIASTO MOJE...

ty, miasto moje...
ty jesteś
do kochania...
do sławy stworzone
nie może być inaczej
zaistnieć – o, to dla ciebie
za wszelką cenę
bez ludzi?
puste domy
ulice
bez nas?
ty moje...
musi być ktoś kto ciebie będzie kochał

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

WSPOMNIENIE

nie chodzi o to
bym wymieniła ulice
na których czas powyginał grzbiet
 niczym kot łaszący się o kolana swojego pana

nie chodzi o to
bym opisała domy
gdzie na scenie półmroku twarze z maskami odbijają
się w szybie

nie chodzi o to
bym zliczyła myśli ludzi
przesuwając koraliki w liczydło tygodnia na prawo czy
lewo

wspomnienie mojego miasta
tak bliskie a tak dalekie

to mam opisać-
i nie potrafię...

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

ten kamień szary
co przed chwilą wstał z ziemi
otrzepał się z zimna
wyprostował przydeptane kości
zamyślił...
pod niebem w rozchełstanej koszuli
które choć bez krawata
płakało rozcięte smugą samolotu

zanim zdążył pomyśleć
przydeptał go czas
wędrując tam i z powrotem
aż do zapomnienia...

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz
STAMTĄD DO GDZIEŚ...

dworzec...

facet w swetrze nerwowo ściska czerwoną różę,
długa łądyga prawie dotyka ziemi.
od czasu do czasu podnosi kwiat,
by powąchać czy zapach pozostał.
płatki lekko opadły zmęczone czekaniem, ale jeszcze starczy im sił, by
powitać...

...kobieta posadziła dziecko na walizce, dała lizaka i kazała milczeć.
niespokojnie szuka czegoś po kieszeniach,
widać czegoś ważnego.

...młodzian z czarną aktówką przysiadł na dworcowej ławce.

elegancki garnitur, biała koszula...

delegacja, pewnie...

...zarośnięty człowiek, brudny, w ręce kilka starych reklamówek. Zagląda
do śmietników, coś wygrzebuje.

znalazł kawałek bułki, ogładnął, schował... będzie na potem.

nie zwraca uwagi na nikogo.
stara się być nikim.

Stamtąd do Gdzieś wjeżdża pociąg. Tłum ludzkich ciał wysypuje się na peron niczym wymiociny i toczy w kierunku schodów, by gardzielą wypłynąć na ulicę. Następuje coś w rodzaju katarsis. Ludzie skazani na siebie w czasie podróży oczyszczają się po wyjściu z pociągu i aby prędzej otrząsnąć się z gwałtu „swoj na sobie” otrzepują miłe uśmiechy z twarzy i zdejmują maski pierrotta wrzucając do kosza, w którym ktoś szuka przetrwania, a może i siebie. Tacy surowi, bezpłciowi zasilają uliczny tłum.

Kobieta, długonoga blondynka... dla niej ta róża, i kilka uśmiechów na powitanie. Jeszcze miły gest wdzięczności za opiekę w podróży i facet popycha jej wózek w kierunku wyjścia. Ręka uniesiona do góry... Dłoń położona na jego dłoni... nie trzeba słów... nawet ułomność ma swoje prawa. Dziecko usiadło przy oknie, dojada lizaka, milczy. Mama kazała. Niecierpliwie spogląda przez okno. Czeką na odjazd. Naprzeciwko siada młodziak z aktówką. Ten elegancki z peronu. Szukał wolnego miejsca. Nie było. Tylko tu. Wsiedli osobno, może wysiądą razem...

*ulica...wystająca kostka wybrzuszona po zimie,
niczym wielki spasiony brzuch wieloryba
czasami śliska, kiedy pada, czasami sucha,
gdy słońce pali skorupę.
kto przechodzi potyka się. ogląda.
idzie dalej i wraca.
znowu się potyka, znowu ogląda i znowu wraca.
jak walc uliczny na trzy...*

*...głowa do góry, nie patrzymy na nogi, i raz, dwa, trzy
i znowu... dzień dobry pani... i raz, dwa, trzy
jak miło widzieć... i raz, dwa, trzy
też na zakupy, i raz, dwa, trzy...*

Chyba nikt nie lubi tych przymusowych uśmiechów, zdawkowych uprzejmości, na których każdy potyka się właśnie jak na owej wystającej kostce. Bo to nie krzywa ulica tylko spaczona droga życiowa i wpojone od wieków ukulturalnienie nakazuje ślizgać się po niej z tą gładką uprzejmością nie bacząc na to, że to właśnie ona najbardziej szkodzi...

Kiedy oczy z wyczerpania padną wreszcie do stóp, a konkretnie do czubków butów, wtedy dopiero można poruszać się do przodu, i wtedy dopiero ta ulica, z tym chodnikiem będzie wyznaczała kierunek. Można będzie nie marnując czasu, omijając przeszkody i uważając by nie przejechać się na śliskim gruncie podążać Stamtąd do Gdzieś...

...ale walc jest parami. raz, dwa, trzy...

park...wąska alejka wzdłuż drzew.
stare kasztany zrzuciły pożółkłe liście.
pięć palców odciska na ziemi swoje linie papilarne,
wbijając w murawę paznokcie wczepia się tak mocno
by zostać w niej na wieki.
szeleszczący dywan układa się do snu zimowego.
między konarami przenika zapach jesieni zbutwiałej ze starości...
przez palce przelatuje zimny wiatr i zanosi się w płaczu nad sobą.
...pomiędzy drzewa wchodzimy trzymając się za ręce.
rozdzielają nas, dają chwilę na dotyk
i ponownie łączą.
wchłaniamy ich przeszłość, przenikamy czas,
który dodał im zmarszczek i spękał korę.
wdychamy zapach jesieni.
kastany jakie znajdziemy wsadzimy w album wspomnień
z tegoż spaceru...

...na zbutwiałej ławce wycięte serce z inicjałami.
„sto lat samotności” pozostawione na sto lat w samotności,
w nadziei na przetrwanie.
na ławce są oni i Marquez.
złamane „S” jak złamane serce, jak sto, jak samotność...
i zwyczajne „M” jak miłość, a może Marquez...

Deski ławki ugięły się, liście nagle lekko zawirowały, dwa z nich ucisnęły dłonie... Jakaś para staruszków szła Stamtąd do Gdzieś, stanęli obok ławki, uśmiechnęli się. Zabrali książkę i te dwa liście...

dom

Stamtąd do Gdzieś znajduje się mój dom.

...pewnie jak każdy, jak w większości zwykły mały azyl,
świątynia marzeń, szkatułka z sekretnymi łzami,
skarbnica osobowości...

tam miejsca Stamtąd i Gdzieś mają swoją półkę.
podpisane oznaczone datą, czasem zakurzone...

...rzadko kiedy wracamy do nich, bo jak wracamy to zwykle do domu.
wspomnienia topimy w lampce szampana
musowo by uleciały a nie dusiły przeszłością.
usuzone niczym bukiet kwiatów,
który dostaliśmy z jakiejś ważnej okazji.
czasem zmieszane w koktajl...
jedne schowane w drugich...

My, beżpłciowi, surowi, bez uśmiejchów i życzliwosci, ułomni tacy codzien-
ni ulicznicy. W przedpokoju w lustrze zostawiamy przed wyjściem siebie, by
po powrocie razem z kaptami założyć domową twarz. Wychodząc zakładamy
płaszcz z mentalności i bierzemy ochronny parasol, wtapiamy się w tłum,
idziemy, Stamtąd do Gdzieś, ze wszystkimi, a jednak samotni. Niczym łajba
dryfujemy z falą, tacy zbyt osobiści a jakże zbiorowi. Konformistycznie
boimy się siebie, uciekamy przed własną ułomnością... Cichym krzykiem
zdobynamy świat.

de te fabula narratur...

Jakub Ptaś

CUDA W CODZIENNOŚCI

Wszedłem do MOK-u, skręciłem w lewo, zaraz w prawo w krótki korytarz, robiąc szybko trasę obok sztucznego muru postawionego na środku. Potem skręciłem w prawo, impulsowo pamiętając, że na prawo znajduje się pracownia muzyczna. Idę prosto, widzę z daleka rowery. Podchodzę, badam, patrzę: Trzy. Jak przypuszczałem. Wchodzić?

Od razu, bez pytań do siebie i wahania otworzyłem drzwi. Zobaczyłem ich trójkę, znajomego przy gitarze, pokiwałem mu głową, w powietrzu zaświstało coś w stylu zachrypłego „cześć”, widziałem po prawej tylko kątem oka ją i jego, coś grzebali przy sprzęcie.

Wyparowałem z taką małą dygresją:

— Hmm... chyba tutaj jeszcze nie jestem potrzebny.

Usłyszałem w geście potakiwania „no”. Natychmiast zamknąłem drzwi i poszedłem.

Kim oni byli? Znajomy, drugi znajomy, ona...

Wspomnienia niosą mnie gdzie indziej, w inne miejsca niż niby-rodzimy Nowy Targ. Skupiając się tylko na tym miejscu, ciężko mi znaleźć odniesienia.

* * *

Było to z końcem marca, gdy śnieg jeszcze leżał na Podhalu. Stary kumpel z przedszkola koło podstawówki nr 2, do której później zresztą chodziłem, kumpel, z którym przez tyle lat miałem kontakt, że czasami wydawało się, że znał mnie lepiej, niż ja, ponieważ sam o sobie wiele nie myślałem.

Upowiedział, że przypadniemy sobie do gustu. Ciekawe. Jego opinie o tym, z kim obecnie jestem lub zamierzam być puszczałem zawsze na wiatr, albo nie zwracając na nie uwagi, albo po prostu ignorując lub też sam mówił o tym bardzo mało.

To jednak nie było bez znaczenia, bo tym razem to mówił o czymś, co ma się zdarzyć, o osobie, której nie znam. To wywołuje zainteresowanie, jak każde prorocstwo. Jednak, jak każda taka przepowiednia, staje się niesamowite, gdy się spełnia.

Chodziliśmy jak zawsze gdzieś uliczkami miasta, Kopernika, gdzie na jej końcu mieszkał, często jednak innymi, sąsiednimi, dalekimi, bliskimi. Między blokami, koło rzek, na wzgórzach. Dużo informacji? Mało? Ma to niewielkie znaczenie, każdy, kto tu mieszka, zaraz uzyska obraz całego miasta, gdzie wychował się i żył – albo chociaż przez krótką chwilę przebywał.

Najbardziej dziwić się można byłoby nazwom ulic. Niby zwykłe, nieznaczące – jak każde, po prostu są. Ignoruje się je, nie zauważa. A są pomnikami po sławnych ludziach, albo grupach – można powiedzieć, geniuszach. Czasami po zjawiskach, rzeczach, wartościach. Można by rzec – skarby leżą obok nas, a my ślepi patrzymy przez siebie, pamiętając tylko o naszych obowiązkach. Jesteśmy jak biznesmeni bez czasu na zatrzymanie się. Spojrzenie, co jest wkoło.

Wyprawy były po zakupy dla rodziców, pożyczenie rzeczy czy inne temu podobne, jak odwiedziny znajomych. Nie zawsze u nich, często po prostu na zewnątrz, na klatkach, ucinaliśmy pogawędkę. Czasami kogoś zabieraliśmy ze sobą, chociaż rzadko. Tak się wędrowało, nie zawsze znając nazwy ulic. Po prostu. Szliśmy, nie rozumiejąc, co jest wokoło. Bo czy musieliśmy?

Wielkość wcale nie polega na tym, że jakaś rzecz jest ogromniasta w swych wymiarach. Wielkość polega na pełni, na tym, że potrafisz dostrzec ogrom w małości, małą rzecz, która może zawierać całą pełnię swojej istoty i dzięki temu – dzięki patrzącemu i wierzącemu – staje się wielka. Jak to ona sama mówiła, tym razie w kontekście kotów, które się jeszcze wiele razy przewiną przez tekst, zwierzęta mogą być stuprocentowe albo nie. Tak jest ze wszystkimi przedmiotami i wartościami. Również w Nowym Targu. To nieważne, że coś waży 100 kilo, czy 200. Ważne jest to, ile jest znaczenia w tych kilogramach.

Można myśleć, że ważniejszy jest opis miejsca, niż moralistyczne przekazy. Jednak czym jest to, co przekazujesz według słów? Jedynie zapowiedzią rzeczywistości, należy samemu sprawdzić, co one oznaczają.

Dworzec. Mimo wszystko, jedno z piękniejszych miejsc. Dlaczego? Tyle gołębic tam się pałęta, tyle gołębi. Symboli pokoju, dyplomacji, poprawnej komunikacji. Zgody i czystości. Mało kto zwraca uwagę na to, że często miejsce jest naprawdę jak to, kto mu patronuje – nawet jak moce zawarte w zwierzętach. Mieliśmy jechać na koncert do Zakopanego, koncert, którego nigdy w rzeczywistości nie miało być, ponieważ informacja o nim dziwnym trafem była przestarzała.

Faktycznie, w pewien sposób przypadliśmy sobie do gustu. Właściwie, to ja jej praktycznie nie zauważałem, starałem się zostawić inicjatywę wspólnemu znajomemu. Dostrzegłem tylko to, że ona jest jakby kłębkim smutku, mimo pokazywanego od czasu do śmiechu, czy powierzchownej radości. Tak, skupiałem uwagę na zupełnie czymś i kimś innym.

Wydawało mi się w potem, że ona jedyna ze wszystkich mnie rozumiała, bo reszta zajmowała się po prostu sobą.

Zastanawiam się, czy opisywać dalekie zdarzenia i dopiero wtedy przenieść je na grunt nowotarski. Wywiązała się awantura o kumpla z przedszkola. Graliśmy w tym *komedio-dramacie na żywo* znajomy, ona, znajoma, ja oraz ten niby nieszczęsny brat czy przyjaciel. Nie pamiętam już, o co poszło. Tamtego dnia magia przepędzała każde zdarzenie, jakby cały ciąg był przygodą, nie zwykłą podróżą. Uwierzylibyście? W KFC wywiązała się kłótnia, w wyniku której na kartce papieru kumpel narysował kilka scen. Przedstawiły one sprzeczkę pomiędzy nami. Dałem mu jeszcze raz papier, narysowałem ramkę do następnej kartki. Naskrobał coś podobnego, znaczą naszą strzelaninę – karabiny wymierzone i wystrzeliwane z nich kule wprost w niego.

Trochę impulsywnie zdegestowany, gdy nikt nie widział, narysowałem piątą, ostatnią scenę, w której wszyscy trzymają się za ręce.

Wyszedł pierwszy. Znajoma poszła do WC, ja być może zniecierpliwiony albo raczej powodowany impulsem wyszedłem na dwór. Zakopane było zupełnie inną historią, niż Nowy Targ. Wyglądało jak wielka tawerna, w której podchodziło się do odpowiednich stolików, zamawiając coś ze spiżarni. W oknach były widoki na okoliczne, największe atrakcje – krajobrazy. A Nowy Targ? Sama nazwa mówi. Jak odnowiony targ, tyle, że z pewnymi miejscami zamieszkania, budynkami mieszkalnymi okrążającymi miejsce dokonywania transakcji. Jednak, jak tu i tam, wokół otaczała nas wieczność prawdziwego

świata – rozumianego jako przyroda, nie zaś czyny ludzi. W końcu świat to nie to, co nasz polityk zrobił, albo co zrobili za granicą – to nie urzędy i ludzie, obok których mieszkasz, to nie region, ustanowiony przecież przez ludzi, ale miejsce samo w sobie – natura, ze wszystkimi jej obrazami. Potęgą drzemie w tym, co jest czymś innym niż czyny ludzi, bo to coś właśnie je powoduje. Ta siła zawarta w przyrodzie przyczynia się do naszych dążeń i działań. Stamtąd bierzemy moc. To jest osławiony Bóg.

Wyszedłem i stałem tam na rogu, nie wiadomo na co czekając. Wyszła prawie że biegiem i ona, wyszedł i znajomy za nią, oraz znajoma. Popatrzyłem wkoło, nie było bądź co bądź przyszywanego Brata. Ona szła szybciej od nas, chyba myślała, że jest sprawcą tego zamieszania. Przeczynałem coś złego. Przeczucie w tym przypadku mnie nie myliło. Szła prosto, przed nami, próbowałem pospieszyć pozostałych, znajomą oraz znajomego, ale oni szli dość wolno. Intuicja ciągle wiedziała, że będzie coś nie tak.

Poszliśmy prosto, gubiąc ją po drodze, bo dawno już nas wyprzedziła. Po paru chwilach byliśmy już na dworcu w Zakopanym, ale jej ani przyjaciela ani śladu, widoku i słuchu. Czy mam opisywać całą pogodę? W końcu w opowiadaniu pisze się o wszystkim, nie tylko o tym, co się widzi. Ale co wy chcecie od Zakopanego? Tam jest wyczuwalna tylko aura nieskończoności, wieczności zaklętej w górach i oddziałujących na, w cudzysłowie, „miasto”. Reszta to tylko widok. Muzyki naprawdę mało, trochę wilgoci – jak przystało na zimę.

Ważny szczegół. Noc. Wtedy w zimie już była noc, dawno po 18. Tak. Wbiegła z płaczem na koniec dworca, na tyły, gdzie były stacje. Okazało się, że ją okradli... a raczej okradły. One, dwie „gówniary”, jak sama określiła. Ja inaczej teraz bym je określił. Były one wynikiem wielu lat nie-wychowywania, braku uwagi, były winą żądzy jakiegoś mężczyzny i jakiejś kobiety. Winą wszystkich tych ludzi, którzy nie zwracali na nie uwagi, nie dawali im wystarczającej miłości. Tego miejsca, w którym żyły i którego nie dostrzegały, tego wszystkiego, czego nie doświadczyły, ponieważ były bez świadomości przeżyć. Winą tych, którzy wierzyli, że kiedyś będą, winą tych, którzy wierzyli, że kiedyś okradną przypadkową osobę, która w swej nieświadomości również polazła gdzieś, gdzie nie trzeba. Do zakopiańskiego parku na wprost

od dworca, po prawej stronie na drodze, którą w zbyt wolnym tempie przeszliśmy – znajomy, znajoma oraz ja. Poganiałem ich trochę, ale nie wystarczająco, a samego siebie nie chciałem pogonić, by biec. Może powiesz, że miałem prawo, że nie jej nie znałem, nie wiedziałem, że jednak moje przeczucie może okazać się prawdziwe i że byłem zdemoralizowany tym, że zostali w tyle, czy też wolno szli, rozmawiając o jakiś rzeczach, w tym momencie być może mało ważnych. To moja wina również, bo nie odważyłem się, wobec tych bohaterskich zdarzeń również uczynić coś równie bohaterskiego, co i tak było niemożliwe, bo potęgi Boga nie da się zmierzyć i do niej dotrzymać stopnia.

Zadzwoniliśmy po policję, ona z nimi pojechała przeszukać teren. Tymczasem wrócił stary, dobry kumpel, ale jednak zaczęliśmy się kłócić, w końcu doszedł następny argument. Bo niby gdyby nie on, to tak by się nie skończyło. To było dopiero srodek, treść. Mimowolnie rozpoczęliśmy rzucać w niego argumentami o tym czy o tamtym, mieszając nieumiejętnie w to także Boga.

Tak spełniła się scena narysowana przez nas na zwykłej kartce.

Sen, czy jawa? Marzenie, czy rzeczywistość?

W ostatnich czasach granica tej interpretacji się zaciera również w Nowym Targu. Szczególnie, gdy ten obchodzi 660 lecie w roku 2006, a Magiczną Liczbę będzie obchodził dokładnie w tym roku, na który jest najczęściej datowany koniec świata. Tak dokładnie, to ma to być 21 grudnia 2012, gdy bieguny Ziemi znowu się zmienią. Wtedy ludzkość przejdzie kolejny skok w ewolucji – tym razem skok w duchowość. Skok w inteligencję już był. Teraz staniemy się duchowymi istotami, potrafiącymi wszystko przebaczyć. Jak to prorokuje Biblia, nastanie nowa ziemia i nowe niebo. Proroctwa wtedy się skończą. Ale Miłość, która przyjdzie i przyniesie ze sobą Królestwo Niebieskie będzie trwała wiecznie. Już trwa. Już przychodzi i już przynosi.

Jestem zatem bardzo ciekawy, skoro teraz takie cuda się dzieją, co się stanie w Nowym Targu za te sześć lat. Pewnie to samo, co z resztą świata – wielka, globalna przemiana. Co ma jednak ta liczba do tego miejsca?

Gdy w końcu przeszliśmy jakoś przez kłótnię, ona wróciła, pojechaliśmy z powrotem do domu, do miejsca, skąd wyruszyliśmy. W autobusie podaliśmy sobie ręce, ona podała mi i znajomej, znajoma kumplowi, a brat znajomemu.

Pięć osób, jakby w magicznym urzeczywistnieniu, podało sobie ręce jak na piątej scenie, którą narysowałem.

Może gdyby to była bajka... ale nie była. Była to rzeczywistość, przystępna. Ciąg zdarzeń. Dojechaliśmy do Nowego Targu, wyszliśmy nocą i poszliśmy przez Ludzmierską prawie do końca, gdy kończy się ulica miasta, a gdzie po lewej zaczyna się bór.

Tu zakończę opowiadanie, by nie wyjawiać zbyt wiele szczegółów, bo już sporo ich odkryłem.

Urok pojedynczego ciągu wydarzeń, w którym podróżujemy wokół nieznanego. Mimo, że nie ufamy przyszłości, wierzymy w nią, gdy jesteśmy w teraźniejszości i w miejscu, gdzie jesteśmy. Słynne Tu i Teraz, gdzie znajduje się Królestwo Niebieskie. Chociaż, gdy przyjdzie, nie będziemy mogli powiedzieć, że jest tu albo tam... bo będzie wszędzie. Nawet przeszłość, historię, oświeci. Nasze domy, ich znaczenie, znaczenie nazw ulic, gdzie się znajdują, sens całego naszego życia. Ludzie w grobach, zakopani... oni tylko śpią. Zbudzą się w dzień, w którym wszystko, co ma przyjść, przyjdzie. Gdy idąc tymi samymi ulicami miasta, przejawiają się nam jako inne, odmienne. Nabiorą innego znaczenia, bo uświadomimy sobie boskość. Obudzona świadomość rzeczy sprawi ten wielki krok dla ludzi.

Odbywa się to na każdym poziomie społecznym. Popatrz na biedaka – on też myśli. Popatrz na kogoś nazwanego głupcem – on też wie, ma pewną mądrość w sobie, którą jednak nie wykorzystuje, bo ktoś ciągle rzuca kłody pod nogi swoimi uprzedzeniami... ale wtedy przestanie rzucać. Już przestajemy sobie rzucać wątpliwości.

Ciąg dalszy nastąpi.

To dopiero początek mojej historii.

Wszystkie wydarzenia, osoby i miejsca wymienione w tekście są prawdziwe i są faktami, dlatego pozostawiono ich anonimowymi. Wartości zawarte w tekście pochodzą od autora albo od tych, których wysłuchał i których treść oraz jego własne wnioski z autopsji razem zunifikował, tworząc zupełnie nowe rozwiązanie i wartość.

SPIS TREŚCI

Maciej Pinkwart	
Od Redaktora	3
Julian Dworski	
Mój dom, moja miłość	4
Maria Dworska	
Mojemu Ojcu	6
Matka i Córka	7
Rodzinny dom	9
To Ona – Aleksandryjska	10
Z okien starej cukierni	11
Maria Giłka	
O trwaniu i przemijaniu	12
Od wspomnień do wspomnień, od słowa do słowa	17
O człowieku i areszcie	27
Powrócisz tu...?	34
Skąd wziął się Lenin w naszej mieścinie?	38
Krzysztof Kokot	
Nowotarskie ulice	49
Lipa z Długiej	52
Remedium	53
Lipy	53
Pasterka	54
Ptaszyska zimowe	54
Anna Kram	
Na przykład śmietnik, czyli wspomnienia z dzieciństwa	55

Elżbieta Plewa (Marszałek)	
Szewska pasja?	57
Maciej Pinkwart	
Grzejąc się w słońku koło Świętej Anny	60
Jak Katarzyna ze smokiem się targowała	61
Z chmur	62
Sen na Rynku	63
Renata Piżanowska-Zarytkiewicz	
***	64
Zapach nostalgii	65
Katarzyna	66
***	67
moje miasto	68
Nie deptać stokrotek!	69
mieścisko	71
tutaj kiedyś się zrodziłam	72
ty, miasto moje...	73
wspomnienie	74
***	75
Stamtąd do Gdzieś...	76
Jakub Ptaś	
Cuda w codzienności	80

